NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. **Kraków, 14 marca 1908.** **Nr. 11.**

Pożar w szkole. (Treść na str. 2).



Treść numeru: Ludowcy w Kole polskiem. — Uchwalenie ohydnej ustawy. — Ruch antipruski na prowincyi. — Skon wielkiej śpiewaczki. — Powódź w Sanoku. — Minister-poeta. — Żona b. arcyksięcia w zakładzie obłąkanych. — Zaślubiny księcia bułgarskiego. — Skon urzędnika-obywatela. — Jubileusz polskiego uczonego. — Skazanie humorysty na rok twierdzy. — Skon tajemniczego powstańca. — Smutny koniec. — Wyścig wśród zasp śnieżnych. — Francuzi w Marokku — Skazanie ministra. — Rosyjska eskadra we Włoszech .itd. itd.

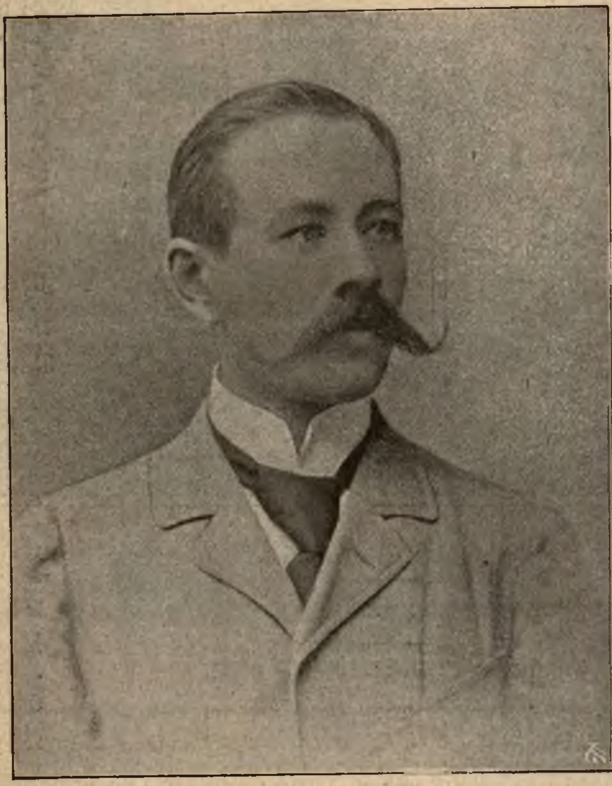
Pożar w szkole.

(Do illustracyi tytułowej.)

Z całej powodzi wypadków, którymi zdołał już zaznaczyć się rok bieżący, na pierwsze miejsce wysunął się przerażający swą grozą pożar szkoły ludowej w Clevelandzie w Ameryce.

Z powodu nadmiernego napalenia w piecach, wybuchł w suterenach tej szkoły ogień i tak szybko objął cały gmach, iż dzieci wybiegłszy z klas już na korytarzach napotkały płomienie. Powstała straszna panika, wszyscy rzucili się ku wyjściu, które niestety okazało się zamkniętem. W jednej chwili sień cała wypełniła się masą ciał dziecięcych, które gniotąc się i depcąc w przerażeniu, utrudniały wszelką akcyę ratunkową wewnątrz gmachu. Pożar tymczasem wzmagał się, parter gmachu stał się jakby kotłem ognistym, z którego dochodziły okrzyki płonących dzieci. Na górnych piętrach poczęły zapadać się podłogi klas wraz z znajdującemi się tam jeszcze dziećmi, które wpadały w to morze płomieniste. Dzieci z klas, mieszczących się na trzeciem piętrze, widząc wyjście przed sobą zagrodzone płomieniami, rzuciły się do okien i wyskakiwały na bruk, gdzie znajdowały śmierć natychmiastową.

Tymczasem na ulicach rozgrywały się straszne sceny z powodu rozpaczy rodziców. Na widok tylu ciał dziecięcych, padłych ofiarą złowrogiego żywiołu, nawet ludzie obojętni odchodzili od zmysłów. Gdy wreszcie po trzech godzinach pożar ugaszono, okazało się, iż straż pożarna uratowała sto dzieci, dwieście jednak znalazło śmierć na miejscu. Miasto całe jakby zamarło, ustał wszelki ruch uliczny, ludność cała okryła się żałobą.



Ludowcy w Kole polskiem: Poseł Jan Stapiński, prezes rady naczelnej pol. stronnictwa ludowego.

Ludowcy w Kole polskiem.

W ubiegłą niedzielę odbył się w Rzeszowie kongres polskiego stronnictwa ludowego, przy udziale wszystkich posłów tego stronnictwa do parlamentu wiedeńskiego i na sejm krajowy, oraz delegatów organizacyj powiatowych z całego kraju, nawet z najdalszych okolic Galicyi wschodniej. Przedmiotem obrad tego kongresu była niesłychanie doniosła sprawa, czy posłowie stronnictwa ludowego w parlamencie mają dalej stanowić odrębny klub, czy też mają wstąpić do Koła polskiego. Obrady miały przebieg bardzo poważny i spokojny, a wynikiem ich jednogłośnie uchwalona rezolucya, którą kongres, jako najwyższa władza stronnictwa, uchylił istniejący dotąd zakaz wstąpienia posłów ludowców do Koła polskiego w Wiedniu. Ostateczne załatwienie sprawy poruczono radzie naczelnej stronnictwa, oraz klubowi posłów do rady państwa i prezydyum klubu posłów sejmowych.

W ten sposób polska reprezentacya parlamentarna w Wiedniu wzmocni bardzo poważnie swe stanowisko, gdyż będzie istotnie przedstawicielką wszystkich narodowych stronnictw polskich. Kierownikom stronnictwa ludowego należy się szczere uznanie za zrozumienie wagi i doniosłości dzisiejszej chwili dziejowej i za podporządkowanie interesów partyjnych czy stanowych, interesowi ogólno-narodowemu.

Stronnictwo ludowe w Galicyi, po kilkunastoletniej zaciętej walce na kilka frontów, odniosło walne zwycięstwo, wykazując w swych szeregach nadzwyczajną karność i solidarność. Jako więc organizacya silna i wpływowa, musiała uznać potrzebę i konieczność połączenia się z Kołem polskiem, zwłaszcza że to Koło, wobec odmiennego składu swego w następstwie powszechnego głosowania, w większości swej jest demokratycznem.

Kongres rzeszowski wybrał następnie nową radę naczelną stronnictwa, która ukonstytuowała się, oddając przewodnictwo zasłużonemu swemu działa-



Ludowcy w Kole polskiem: Dr. Michał Grek, wiceprezes rady naczelnej pol. stronnictwa ludowego.



Aparatem redakcyjnym W. Lis

Ludowcy w Kole polskiem: Uczestnicy kongresu w sali »Sokoła« w Rzeszowie. 1. Wiceprezes rady naczelnej, poseł dr. Szymon Bernadzikowski; 2. Wiceprezes rady naczelnej, poseł Jakób Bojko.

czowi p. Janowi Stapińskiemu; zastępcami prezesa zostali wybrani dr. Szymon Bernadzikowski, Jakób Bojko i dr. Michał Grek.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy prócz zdjęcia uczestników kongresu, portret prezesa rady naczelnej J. Stapińskiego i wiceprezesa dr. Greka, wiceprezesów dr. Bernadzikowskiego i Bojkę znajdą Czytelnicy wśród grupy ogólnej.

Uchwalenie ohydnej ustawy.

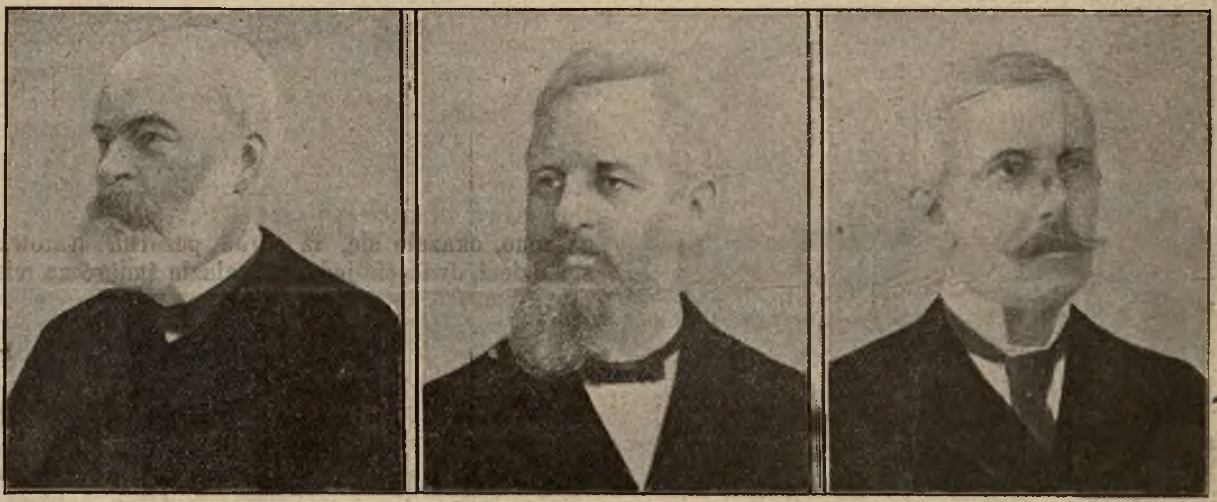
Rząd pruski i jego kanclerz ks. Bülow tryumfują! Izba panów parlamentu niemieckiego uchwaliła ohydny projekt ustawy o wywłaszczeniu, z nieznaczną tylko zmianą. W ten sposób zgasła też ostatnia iskierka nadziei, jaką naród nasz żywił, iż uchwalenie wspomnianej ustawy nie przyjdzie do skutku.

Nadzieję tę opierano na głosach dość licznych, zapowiadających ostrą i stanowczą opozycyę w Izbie panów przeciw temu zamachowi na najświętsze prawa nasze. I istotnie w ciągu rozpraw podniosły się tam liczne głosy z protestem przeciw wywłaszczeniu. Nietylko polscy członkowie Izby, z ks. Ferdynandem Radziwiłłem na czele, ale rodowici Niemcy, jak kardynał ksiądz Kopp, znany zresztą z wrogiego wobec Polaków stanowiska, jak generał hr. Haeseler, jak bar. Lucius Ballhausen, przedstawiali nieludzkość projektu rządowego i domagali się odrzucenia go. Głosy te jednak nie znalazły należytego oddźwięku wśród większości Izby panów, która poszła za wywodami ministrów i takich zaciekłych hakatystów, jak prof. dr. Schmoller, lub hr. Botho Eulenburg.

I projekt rządu uzyskał aprobatę Izby panów i to w takiej formie, która rządowi zupełnie odpowiada. Przeprowadzony bowiem przy nacisku rządu wniosek modyfikacyjny dr. Adickesa, mimo częściowych ograniczeń, faktycznie zaostrza projekt rządu.

Z chwilą tą otwiera się nowy rozdział martyrologii polskiej, nowy okres walki o byt narodowy w zaborze pruskim. Do walki tej staje naród polski silny duchem i wiarą w zwycięstwo sprawiedliwości, silny i dojrzały a zahartowany dotychczasowemi cierpieniami.

Uchwalenie ohydnej ustawy:



Prof. dr. G. Schmoller. Dr. Adickes. Ferdynand ks. Radziwiłł.



Kardynał ks. Kopp. Generał hr. Haeseler. Botho hr. Eulenburg. Lucius bar. Ballhausen.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze portrety kilku wybitnych członków Izby panów niemieckiego parlamentu, którzy przemawiali bądź przeciw wywłaszczeniu, bądź za niem.



Skon b. wicemarszałka kraju: Śp. Antoni Jaxa Chamiec ze swą wnuczką.



Ruch antipruski na prowincyi: Włościanie, słuchający wykładu o prześladowaniach pruskich

Skon byłego wicemarszałka kraju.

Ubiegłej niedzieli liczne grono dawnych i nowowybranych posłów sejmowych odprowadziło we Lwowie na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki byłego długoletniego posła do Rady państwa i na Sejm krajowy oraz wicemarszałka kraju, śp. Antoniego Jaxa Chamca, który umarł w piątek, przeżywszy lat 67.

Urodzony na Wołyniu w powiecie kowelskim, ukończył szkoły średnie w Równie i w Kijowie, poczem uczęszczał na wydział filozoficzno-przyrodniczy w Kijowie, a ukończył go w r. 1862.

Brał żywy udział tak w przygotowaniu jak i w samem powstaniu r. 1863. Po upadku powstania ukrywał się przez kilka miesięcy w rozmaitych domach obywatelskich, aż dobił się do Galicyi. Tu wstąpił do służby politycznej, a dosłużywszy się rangi radcy namiestnictwa przydzielony został do ministerstwa Galicyi.

Wybrany w r. 1887 posłem do Rady państwa, rezygnuje z posady radcy namiestnictwa. Przez dwie kadencye zasiada w Radzie państwa, jak również przez dwie kadencye w Sejmie od r. 1889 do 1901, jako poseł z kuryi gmin wiejskich powiatu zaleszczyckiego. W r. 1890 zostaje wybrany członkiem Wydziału krajowego, a następnie powołany na zastępcę marszałka w Wydziale krajowym, którą to godność pełni za marszałków ks. Sanguszki i hr. St. Badeniego. W Wydziale krajowym kierował departamentem oświaty, a następnie drogowym i kolejowym.

Śp. Chamiec gorąco troszczył się zawsze losem swych dawnych towarzyszy broni. Przy jego poparciu założone zostało Towarzystwo wzajemnej pomocy uczestników powstania z roku 1863—4, którego przez lat dwanaście był wiceprezesem. Zarówno w gronie towarzyszów broni, jak wśród posłów sejmowych i parlamentarnych, oraz urzędników Wydziału kraj. cieszył się poważaniem.

Skon tajemniczego powstańca.

Któż na bruku lwowskim nie znał typowej postaci chłopa-powstańca, który przy każdym obchodzie narodowym, krocząc śmiałym krokiem wśród towarzyszy broni, zawsze dźwigał sztandar. Zimą i latem, wśród pogody i ulewnego deszczu, zawsze występował w sukmanie chłopskiej i chodził z odkrytą głową. Niema już tego „chorążego" między powstańcami; ubiegłej niedzieli zabrała go śmierć nieubłagana. Niema już „Szymona", jak go ogólnie zwano, bo aczkolwiek kazał się nazywać Szydłowskim, ogólnie wiedziano, że to pseudonim i że właściwe swoje nazwisko zataja. Są jednak tacy, którzy twierdzą, że się faktycznie nazywał Kazimierz Stanisław Wizunas Moczydłów Szydłowski. A choć chciał uchodzić za chłopa, nikomu nie było tajnem, że to człowiek był światły, o wielkiej, wcale niechłopskiej inteligencyi, który w każdej prawie materyi duży miał zasób wiedzy. Kto on był, o tem nie wiedzieli nawet najbliżsi jego towarzysze. Jakaś tajemnica osłaniała tę postać. Szymkiem go ogólnie nazywano, ale Szymek nie lubił odsłaniać swej duszy, nie lubił zwierzeń. Zamknięty w sobie, ze swojemi myślami — mieszkał gdzieś pod Lwowem, zjawiając się tylko na każde wezwanie Towarzystwa do wzięcia udziału w uroczystości, czy też, aby odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku którego z towarzyszy.



Skon tajemniczego powstańca: Śp. Kazimierz Wizunas Szydłowski, zwany »Szymkiem«.

Dopiero niedawno stwierdzono, że Szymek Wizunas nazywa się istotnie Szydłowski, a niejasne wersye krążą, że śp. Wizunas Szydłowski przed powstaniem 1863-4 r. był rosyjskim oficerem sztabowym leibgwardyi huzarów. Na odgłos powstania rzucił wojskowe epolety i pospieszył na ratunek Ojczyźnie w szeregi powstańcze. Wytrwał do końca — poczem nie miał już po co wracać do służby — więc poszedł na tułaczkę.

Jeszcze inni twierdzą, że był on prawdopodobnie duchownym i usunął się ze służby Bożej, ponieważ miał przestrzeloną prawą rękę i nie mógł spełniać funkcyj religijnych. To jedno jest pewnem, że ks. kardynał Puzyna podczas swojej bytności we Lwowie widział się z chłopem-powstańcem i że on jeden zna historyę jego żywota.



Jubileusz polskiego uczonego: Prof. dr. Kazimierz Morawski.

Pod koniec życia tajemniczy powstaniec był rządcą u P. P. Benedyktynek i w ich klasztorze umarł. W pogrzebie chorążego weteranów powstania wzięło udział szczupłe już grono towarzyszów broni zmarłego, oraz liczne zastępy publiczności.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret śp. Szydłowskiego, dzierżącego sztandar powstańców.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Spółka spożywcza w Przemyślu: Pierwsi członkowie spółki wraz z wydziałem i uczestnikami aktu poświęcenia.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

17 (Ciąg dalszy).

— Ty znów wracasz do swego — zaśmiał się Chrustowski, gładząc delikatnie łysinę, przykrytą lekko bocznymi włosami — mało ci było przeniesienia na tę przestrzeniową, psią służbę!

— Prawda, do żywego mi dojedli, zwłaszcza ojciec to odczuł... ale nie dam się i dopóki sił i możności będę się bronił.

— O, zawzięta z ciebie sztuka — śmiał się Ostecki — czy i socyalistki są także tak uparte?

— Socyalistki? — zdziwił się Chrustowski — a u ciebie skąd ten pomysł?... Aha, już wiem, pewno poznałeś nową kasyerkę... ładna, bo ładna, cóż kiedy dusza marna, sprzedała się...

— No, tego nikt z nas nie wie napewno, może tak, a może nie — odparł Stański, jedząc podaną potrawę.

— No, wiesz bądźcobądź — wtrącił Chrustowski, gładząc przykrytą łysinę — ona była manipulantką, a po przeprowadzonej dyscyplinarce, że się tak wyrażę, dostała wyższą, popłatniejszą posadę. To daje dużo do myślenia.

— Pozory są przeciw niej — rzekł Stański— nie zaprzeczam, ale kto wie, jakie czynniki tam działały.

— Ja was pogodzę — zaśmiał się Ostecki — Lerche albo znalazł, albo myśli znaleść port bezpieczny, cichy i spokojny.

— Albo też rozkoszny — dorzucił ze śmiechem Chrustowski — to jednak muszę mu przyznać, że wyszukał ładną i ponętną.

— Pal dyabli inspektora, czyż my i mężatkom nie zawracamy głowy? A cóż ona lepszego, jest on, to i dobrze, cicho, a niema go — wolne pole. Czyż nie tak? — śmiał się Ostecki.

— Ach! ty zawsze gotów, byle ładna buzia—uśmiechnął się Chrustowski—ale trafisz i ty na swoją.

— Czy trafię, to rzecz wątpliwa — podkręcił wąsy.

Stańskiemu żal się zrobiło Janiny. Prawda, że podejrzenia są, iż za miejsce kasyerki zdradziła członków zebrania, ale od tego podejrzenia do zarzutu, iż jest już kochanką inspektora, daleka jeszcze droga. Przypomniał sobie pierwsze z nią spotkanie, jej zapał, czyste spojrzenia i szorstkość jej na wzmiankę o podejrzeniu zdrady. Odezwał się też nie bez goryczy:

— Dziwna rzecz, jak u nas są pochopni sądzić honor ludzi, a zwłaszcza kobiet z lada pozorów. Trawecka może, ale tylko może zdradziła sekretne posiedzenie, a wy już robicie ją kochanką.

— A któż meblował jej pokój? Kto polecił ją względom naczelnika? Daj spokój bracie — położył Chrustowski rękę na ramieniu Stańskiego — takie rzeczy robią się dla pięknych oczu, dla pożądanej kobiety, a nie za gorliwość służbową.

— Zgoda... ale od starania się do pozyskania jest daleko bronił się Stański—zwłaszcza że ani młody, ani piękny... no i inteligencya musi być biurokratyczno-kolejowa.

— Po co inspektorowi inteligencya, uroda, rozum — zaśmiał się z goryczą Chrustowski — ma ozycyę, pensyę, emeryturę... no i wpływy, a to dla dziewczyny dużo, bardzo dużo znaczy. A cóż my jej damy? Marną pensyę i pozycyę, którą dyabli wezmą przy lada kaprysie naczelnika, kontrolora, inspektora i jak się tam te złote kołnierze nazywają.

— Dla lada dziewczyny może to i wystarczyłoby — odezwał się Stański — ale ona ma zasady, przekonania...

— Ha, ha, ha — śmiał się Ostecki — parany jesteś! U dziewczyny zasada moralności jest jedna: zachować się dla męża, bo po ślubie nie czą się kochankowie.. a przekonanie także jedno: wyjść zamąż za człowieka z pozycyą i pensyą. To wracanie głowy z jakiemiś zasadami i przekonaniami u dziewcząt i naturalnie u Traweckiej. aczej mi powiedz, w jakich warunkach żyła? W jakich towarzystwach się obracała? I kto prócz spektora starał się o jej względy?

— Matka jest wdową po nadkonduktorze, mieszkają ubogo... mają sublokatorów. Jeden z nich, cyalista znany, Wapieński, i ten prawdopodobnie oił w nią przekonania socyalistyczne. Ile i jak leko zagłębiła się w teorye socyalistyczne, tego wiem. Mam jednak to przeświadczenie, że to wczyna uczciwa... chociaż... chociaż...

— Dla karyery was zdradziła — śmiał się Chrustowski z ironią. I wiesz Stański, z ciebie dobry człowiek, aleś ideolog i nie znasz ani ludzi, ani dziewcząt.

— To samo mógłbym o tobie powiedzieć — odpowiedział Stański, kończąc podaną pieczeń.

— O nie!... Ja wiem, że każda, nawet piętnastoletnia wyprowadzi każdego z nas w pole; że swe ideały i miłości platoniczne zmieniają jak rękawiczki; że przysięgając ci nawet, już myśli, w jaki sposób wymigać się od przyrzeczenia. Wiem dużo i gdyby mnie egzaminowano z tego, dostałbym conajmniej celująco i niejednego inspektora mógłbym pouczyć.

Zaśmiali się wszyscy, a Ostecki patrząc od niechcenia po sali, rzekł niedbale:

— Zatem socyalistka, ko u uznaje wolną miłość — uśmiechnął się drwiąco — bardzo miła koleżanka i oby więcej było takich... Słuchaj Stański, nie masz ty jakich broszur tej nowej ewangelii?

— Jakiej?

— No, socyalistycznej.

— A tobie na co?

— Tak... z ciekawości... Odam ci po przeczytaniu.

— Dobrze, dziś wieczorem otrzymasz.

Zaczęli rozmawiać o służbie kolejowej, to narzekając, to drwiąc z różnych przygód.

Stański, który był z nich najbardziej pilnującym porządku służby, wstał i rzekł do siedzących:

— Za dwadzieścia minut osobowy, muszę iść, bo teraz odpowiadam za cudze i swoje winy.

— Mam czas — dorzucił niedbale Ostecki.

Zaledwie Stański wyszedł na peron, już rozległ się głośny, chrapliwy rozkaz naczelnika:

— Jak wy tam szybujecie, trzeba zrobić „los“, bo „personka“ będzie „forfarować...“ Panie Stański, cóż to za robota?

— Idę, panie naczelniku.

— To mało iść... niech pan dopilnuje „wajchy“, bo wejdzie na „geleize drei“. Pan o służbie ruchu pojęcia niema, idźże pan!

Stański zarządził co i jak mają robić, na jaki tor przesuwać wagony, a że szedł po torze wystawionym na promienie słoneczne, był zdenerwowany krzykiem naczelnika, sam wydawał rozkazy i dopilnowywał ich wykonania, wrócił zmęczony i spocony na peron.

Zaledwie stanął w cieniu, już odezwał się upominający głos naczelnika:

— Idź pan do telegrafu i zapytaj się o „personkę“ na „vorstacyi“ czy, „personka recht“.

Po chwili Stański wrócił i meldował:

— Osobowy przyjdzie w naznaczonym czasie.

— Co mi pan tam opowiada — odburknął naczelnik — pytałem, czy „personka recht“.

— „Recht“ panie naczelniku.

— Hm... to dobrze. A „wajchy odblokowane?“

— Tak jest.

— Obejrzy pan, czy w poczekalniach czysto, czy służba na stanowiskach, a przed przyjściem sprawdzić „wajchy“, ostrożność przedewszystkiem.

Stański poszedł spełnić rozporządzenia, a naczelnik wolnym krokiem, rozglądając się bacznie na wszystkie strony, poszedł w stronę kasy. Zastał okienko zasłonięte brudną firanką, a kilkunastu podróżnych czekało na otwarcie kasy. Naczelnik spojrzał na zegarek. Za siedm minut miał pociąg nadejść. Chwilkę czekał, patrząc swemi błękitnemi, trochę mętnemi oczyma na żółtawą firankę. Wśród chwilowej ciszy posłyszał głośny śmiech Osteckiego z głębi kasy, to podnieciło jego gorliwość służbisty i dosyć szybko, jak na swą tuszę, podszedł do drzwi i nagle je otworzył. Ujrzał właśnie Osteckiego nachylonego wdzięcznie w stronę Janiny.

— Co to za romanse! — zawołał gromkim głosem — tu służba!... Dlaczego kasa zamknięta?

Ostecki zganiony wobec Janiny, poczuł obrazę i odpowiedział dość porywczo:

— Według regulaminu otwieram kasę na pięć minut przed przyjściem pociągu, a jest sześć—wyjął zegarek z kieszonki.

— Co mi tam regulamin!? — uniósł się naczelnik — tam tłumy czekają i przez głupią kasę może być „verspätung“... Proszę otwierać!

— Już otwarta — mruknął Ostecki, odsuwając brudną firankę.

Naczelnik sapał i wodził oczyma złemi po kasie, szukając przedmiotu do nagany. Wzrok jego padł na pisarza Szycera.

— Czego mi się pan tak przypatrujesz? Masz pan papiery przed sobą, czy pierwszy raz widzisz mnie pan?

Zganiony omal że nie zwinął się w kłębek, wytrzeszczył oczy w papier rozłożony i ledwie oddychał. To piorunujące wrażenie uspokoiło cokolwiek rozdrażnienie naczelnika i już łagodniejszym głosem zwrócił się do Janiny:

— Jakże idzie nauka?

— Zdaje mi się, że potrafię prowadzić kasę— odpowiedziała śmiało.

— Już... no, no... Panie Ostecki zrób pan próbę.

— Natychmiast — odpowiedział usłużnie — proszę panią — usunął się z okienka.

Janina przystąpiła i spytała pasażera, siląc się na spokój, do jakiej stacyi żąda biletu.

— Do Maksymówki.

Janina pobladła; nie wiedziała na razie, gdzie ta stacya i chcąc zyskać na czasie, spytała powtórnie, na co otrzymała tę samą odpowiedź.

Tymczasem dalszy pasażer, owładnięty gorączką kolejową, zawołał gburowato:

— Dajże mu pani bilet, czekam od pół godziny.

Równocześnie naczelnik w kasie, zniecierpliwiony zwłoką, rzekł dość szorstko:

— No, prędzej... dawaj pani bilet.

Ogromnym wysiłkiem pamięci zdołała uprzytomnić sobie, na jakiej przestrzeni leży Maksymówka i zarumieniona ze wzruszenia szybko sięgnęła do przedziałki, wyjęła bilet, włożyła do „composteur'u“, stuknęła dźwignią i wymieniła cyfrę należności.

Kupujący zaczął zwolna wyciągać pieniądze z różnych kieszeni, a Janina widząc zniecierpliwienie następnego pasażera, spytała go o stacyę, do której jedzie.

— Słoboda Rungurska! i podał 20 kor. w złotej monecie.

Janina odebrała pieniądze i sięgnęła po bilet, w tem zawołał naczelnik:

— Co pani robi? Wpierw ekspedyuj pani jednego, odbierz należytość, a drugi niech czeka kolei.

— Dobrze panie naczelniku — zatrzymała bilet wyjęty.

— Nie zapomnij pani, że dałem dwadzieścia koron — upomniał pasażer i dodał półgłosem — te kobiety są zawsze niezaradne, czekam i czekam, a ona guzdrze się, jak z uczesaniem.

Janina przeliczyła pieniądze otrzymane za bilet do Maksymówki, brakowało dziesięciu halerzy, o które się upominała. Pasażer twierdził, że dał wszystkie i chciał sam znów przeliczać. Rozdrażniona Janina zawołała głosem stanowczym:

— Nie dam biletu bez dziesięciu halerzy... proszę się ustąpić.

Ten jej ton rozkazu podobał się naczelnikowi, uśmiechnął się łaskawie i mruknął:

— Tak, tak... będzie z pani niezła kasyerka.

Sprzedaż dalsza szła dość szybko i składnie, a Ostecki, chcąc przypodobać się Janinie, powiedział półgłosem:

— Wkrótce nabierze potrzebnej rutyny—spojrzał na naczelnika.

— No... zobaczymy — odwrócił się i wyszedł.

Dzwonki na stacyi brzmiały nieustannie, wreszcie dał się słyszeć gwizd przeciągły i lokomotywa sapiąc, kurząc, dymiąc wjechała przed peron. Portyer dzwonił, oznajmiając tubalnym głosem, dokąd pociąg zmierza, konduktorzy otwierając drzwiczki wagonów, wykrzykiwali czé postoju, urzędnik ruchu, w czerwonej czapce, szybko przechodził z miejsca na miejsce, a Stański czekał rozkazów naczelnika, który z cygarem w ustach kontrolował czynność podwładnych.

— Panie Stański! — zawołał — sprawdź pan „wajchy“.

— Idę.

W tem prowadzący pociąg zameldował, że jeden wóz rozluźnił się w spięciu, a naczelnik zawołał za odchodzącym:

— Panie Stański!... Każ pan „zabremzować“ wagon.

— Dobrze panie naczelniku.

Stański zawołał na niższą służbę, rozkazał spiąć silniej i po uskutecznieniu wracał. Naczelnik widząc go krzyknął:

— Czy „zabremzował“ pan „fest“.

— Tak panie naczelniku.

I wśród tego gwaru, krzyku, rozgardyaszu, do naczelnika stojącego dumnie, z miną nieprzystępną, podszedł pokornie człowiek niski, niewyraźny blondyn, z lisim uśmiechem na szczupłej twarzy, w mundurze służby kolejowej, był bowiem zastępcą portyera i szepnął:

— Wielmożny panie naczelniku... w klasie pierwszej siedzi pan kontrolor ruchu...

— Co? Gdzie? — zawołał zmienionym głosem naczelnik zaniepokojony.

— Wagon przedostatni... właśnie wysiada.

Naczelnik zrobił się nagle bardzo giętkim w ruchach i chodzie. Rzucił niedopalone cygaro, obciągnął ubranie i podchodząc szybko do adjunkta pełniącego służbę, spytał głośno, ale głosem złagodzonym:

— Czy wszystko w porządku? Stundenpass?... Pakunki? Tranzitorzy?

— Zaraz skończę panie naczelniku.

— Spiesz się pan... Czy telegrafiści na miejscu?

— Pewno... nie byłem jeszcze.

— Idź pan zaraz!... zaraz!...

Przez ten czas nie spuszczał z oczu postaci kontrolora, który zwolna, rozglądając się bacznie wokoło, to znów mustrując oczyma pociąg cały i służbę ruchu, szedł w stronę peronu dworca.

Był to człowiek szczupły, niski, z brodą krótko przyciętą, szpakowatą, ubrany w tużurek lekko wyświechtany, w kapeluszu filcowym na głowie, niósł pod pachą torbę z papierami, a na ramieniu miał przewieszoną zarzutkę letnią.

Naczelnik szybko podszedł, udając, że dopiero co spostrzegł przełożonego i zdejmując kapelusz, schylając się nisko w ukłonie, rzekł:

— Sługa pana kontrolora.

— Dzień dobry panu — odpowiedział suchym, urzędowym tonem i patrzał na urzędnika w czerwonej czapce pełniącego służbę.

Do tego urzędnika zbliżyło się w tej chwili dwóch żydów i trzy kobiety w towarzystwie konduktora. I kobiety i żydzi podnieśli ogłuszający hałas, pokazując swe bilety, oskarżając i tłomacząc się równocześnie. Zniecierpliwiony urzędnik zawołał ostro:

— Cicho! Nie wrzeszczcie!

Lecz hałas nie ustawał, tylko się wzmagał:

— Milczcie! — zawołał głośniej.

Kontrolor spojrzał zimno w oczy naczelnika i rzekł z ironią:

— Ten adjunkt nie zna zapewne przepisów kolejowych o zachowaniu się względem publiczności... a może to z polecenia pana?

— Pozwoli pan kontrolor, że sprawę tę uporządkuję — przemówił gorliwym tonem naczelnik.

— To obowiązek pana — skinął głową i szedł dalej, patrząc na spieszącego się naczelnika.

Na widok naczelnika umilkli sprzeczający się. Konduktor zdał sprawę ze sporu o stłuczoną szybę wagonową. Kobiety oskarżały żydów o zrobienie szkody, a żydzi dowodzili, że kobiety stłukły szybę.

— Nie ściągać kary — zadecydował szybko naczelnik — zapisać nazwiska i miejsce zamieszkania — a zwracając się do urzędnika dodał cicho: — kontrolor słyszał wymyślania pana.

Szybko poszedł do stojącego opodal kontrolora Warzeckiego i z uprzejmym uśmiechem mówił:

— Sprawę załatwiłem... wszystko w porządku — a widząc zarzutkę na ramieniu przełożonego — pan kontrolor pozwoli, że wezmę zarzutkę, taki upał dzisiaj — wyciągnął rękę.

— Dziękuję panu. Upału niema, a swoje rzeczy sam noszę — powiedział chłodno i szedł w kierunku sali restauracyjnej.

Było już po drugim dzwonku i w restauracyi mało było przejezdnych, a ci co byli wołali na różne tony płatniczego, ażeby się uiścić za zjedzone potrawy.

Kontrolor okiem ajenta policyjnego obrzucił salę, podszedł do pobocznego stolika, usiadł na krześle i rzekł z miną niezadowoloną:

— Za mało cenników potraw... obrusy brudne... w sali — spojrzał na podłogę — chyba od tygodnia nie zamiatano. Czy takie porządki u pana?

Naczelnik spojrzał piorunująco w stronę bufetu, za którym stał z błogim, uprzejmym uśmiechem gospodarz.

— Panie kontrolorze, dzisiaj był natłok gości — usprawiedliwiał się naczelnik — po odejściu „personki" zrobi się porządek.

— Zawsze powinien być porządek i czystość, tego wymaga regulamin. Ale już od minuty powinien był pociąg opuścić stacyę — spojrzał na swój zegarek.

— Dowiem się — zawołał naczelnik, idąc ku drzwiom, w których w tej chwili stanął urzędnik pełniący służbę i meldował:

— Z powodu poczty dwie minuty „verspätung".

— Dobrze... zanotuj pan — i poszedł z wyjaśnieniem do kontrolora.

Restaurator spojrzał w stronę naczelnika i z niskimi ukłonami, ozdobiwszy twarz najprzyjemniejszym uśmiechem zbliżył się i spytał:

— Co rozkaże pan kontrolor?

— Najpierw powiem, że u pana brudno, pełno śmiecia i pyłu, a zaduch wstrętny. Cóż dopiero musi się dziać w trzeciej klasie?

— To wina pasażerów... każę zaraz zrobić porządek — skłonił się nisko.

— Zrobić? Zrobić? — drwił kontrolor, spojrzawszy przelotnie na naczelnika — zawsze powinno być czysto i porządnie... Proszę o białą kawę z rogalkiem.

— W tej chwili... zaraz służę — ukłonił się restaurator i odchodząc zawołał: — Janie! Biała kawa dla wielmożnego pana kontrolora.

Odezwała się gwizdawka konduktora prowadzącego pociąg, lokomotywa przeciągle gwizdnęła i pociąg ruszył zwolna.

Kontrolor Warzecki, zanim podano kawę, wstał i trzymając tekę w ręku przeszedł do położonej obok poczekalni pierwszej klasy.

Tuż za nim szedł naczelnik, a z rozpogodzonej twarzy było widać, że jest niemal pewny pochwały. Poczekalnia bowiem pierwszej klasy służyła jedynie dygnitarzom, publiczności zabraniał portyer wstępu z polecenia naczelnika. A jedyny wyjątek robił portyer dla tych pasażerów, którzy dobrze opłacili się za pozwolenie wyspania się w nocy na krótkiej i wąskiej kanapce, pokrytej zielonym welwetem, szumnie nazywanym aksamitem. Oczywista tylko wówczas, gdy pan naczelnik spoczywał na łonie rodziny.

Istotnie w tej poczekalni było czysto, posadzka się lśniła, nawet kurze były jako tako starte, i naczelnik rozglądał się po tej salce z zadowoleniem.

Warzecki w milczeniu podszedł do kanapki, patrzał na nią przez chwilę i wskazując na wklęśnięcie, rzekł tonem urzędowym:

— W czasie ostatniej kontroli mojej tego wklęśnięcia nie było... widocznie ktoś spał, a była to osoba tęga i korpulentna, gdy tak dalece ugięły się sprężyny.

Naczelnik zmięszał się. Wklęśnięcie było widoczne, ale powiedział tonem spokojnym:

— W ostatnich czasach było kilku wyższych radców na stacyi, w tej poczekalni. Również dwukrotnie był w przejeździe pan hrabia — wymienił znane nazwisko — prawdopodobnie ci goście tu spoczywali.

— Co innego jest chwilowy pobyt, a co innego leżenie i spanie — mówił surowo Warzecki — zapewne wie pan, że noclegowanie na stacyi jest wzbronione surowo.

— Lecz czy mogę wyprosić hrabiego lub hofrata? — bronił się oskarżony.

— To zależy od taktu naczelnika... Regulamin kolejowy nie zna wyjątków.

Naczelnik nachmurzony umilkł, klnąc w duchu na niesprawiedliwość przełożonych.

Warzecki przeszedł się po salce i przystanął tuż przy nim. Po chwili odezwał się tonem nagany, wskazując palcem na spluwaczkę:

— Proszę bliżej — naczelnik podszedł — w czasie ostatniej wizytacyi mojej poleciłem, ażeby te niebieskie spluwaczki przenieść do drugiej klasy, a tu dać ze względu na całokształt sali, posiadającej meble zielone, również i spluwaczki zielone.

Naczelnik poczerwieniał z gniewu, gdyż Warzecki polecił umieszczenie w tej sali niebieskich spluwaczek i odpowiedział tonem podrażnionym:

— Zdaje mi się że pan kontrolor polecił umieszczenie niebieskich spluwaczek właśnie w tej sali.

— To panu się zdaje — podkreślił ostatnie słowo — a ja polecam panu teraz przemianę spluwaczek.

— Dobrze panie kontrolorze — skinął głową naczelnik, połykając z trudem tę gorzką pigułkę.

Przeszli do sali restauracyjnej i Warzecki nie bez zadowolenia spostrzegł świeże obrusy, czyste naczynia i cenniki na każdym stole.

W tej chwili z pośpiechem weszła służąca do sali i zbliżywszy się do naczelnika zawołała:

— Wielmożna pani okrutnie się gniewa, kawa stygnie, wszyscy czekają, a pana nie widać.

Naczelnik zatrząsł się z gniewu, podszedł do służącej i zasyczał:

— Idź do dyabła razem z kawą twoją — i zwracając się z rozpogodzoną twarzą do Warzeckiego: — służące mają szczególny dar przeszkadzania... jestem na usługi pana kontrolora.

Warzecki zapłaciwszy za kawę, zwiedził cały dworzec szczegółowo i wszędzie miał coś do zganienia, tam były śmiecie, ówdzie złe przewietrzenie, lub nieodpowiednie ustawienie stolików... Doszli wreszcie do kasy, w której właśnie Janina wciągała do książek numera biletów i ich cenę, według wskazówek Osteckiego.

Kontrolor z miną niezadowoloną spytał naczelnika:

— Czy to za zezwoleniem pana wchodzą tu pomocnice kasyera?

— To nie pomocnica żadna — odpowiedział z odcieniem tryumfu — to nowa kasyerka, przysłana z dyrekcyi.

— Nowa?... Z dyrekcyi? — i zwracając się do Janiny zapytał: — nazwisko pani?

— Trawecka.

— A... to wiem — uśmiechnął się łaskawie — wspominano mi o pani — patrzał badawczo na twarz, oczy, postać całą — to bardzo dobrze, że pani przechodzi kurs praktyczny... Jakże idzie?

(Ciąg dalszy nastąpi).



— Co to za romanse! — zawołał naczelnik gromkim głosem.

Skon wielkiej śpiewaczki.

W Wiedniu zmarła przed kilku dniami jedna z najsłynniejszych niegdyś śpiewaczek, Paulina



Skon wielkiej śpiewaczki: Paulina Lucca.

Lucca, która głosem swym przez pół blisko wieku czarowała świat cały.

Urodzona w Wiedniu w r. 1841, jako córka kantora bożnicy, w ósmym już roku życia zwracała na siebie uwagę dźwiękiem głosu. Pierwszych lekcyj śpiewu udzielał jej ojciec, potem zaś przeszła pod kierownictwo znanych ówczesnych profesorów śpiewu, zwłaszcza że została przyjętą do chórów opery nadwornej. Wkrótce nastąpił pierwszy jej występ w „Zaczarowanym flecie“, którym zdobyła sobie już wielki rozgłos. Zaangażowana do Ołomuńca, potem do Pragi, przeniosła się po roku do opery berlińskiej i zyskała tam wszechświatową sławę. Związana kontraktem z Berlinem, tylko z gościnnymi występami jeździła po Europie, budząc wszędzie entuzyazm pięknością głosu. Urok jej jako artystki, potęgowały jeszcze zalety charakteru i serca, które jednały jej nietylko wielbicieli, ale i szczerych przyjaciół. W r. 1872 opuściła zupełnie Berlin z powodu małej rewolucyi teatralnej, wynikłej z jej powodu, a w której pewną rolę odegrał i cesarz Wilhelm I.

Berlińczycy bowiem, za poduszczeniem byłego jej męża, z którym się poprzednio rozwiodła, i jej rywalki Mallinger, wygwizdali ją na przedstawieniu, wskutek czego Lucca zerwała kontrakt, przerywając występy. Czyn ten ściągnął na nią gniew Wilhelma I., który zabronił jej występować w Berlinie. Lucca wyjechała do Ameryki, gdzie wyszła po raz wtóry za mąż za majora Wallhofena, poczem wróciła już na stałe do Wiednia. Tu pracowała przez szereg lat jako nauczycielka śpiewu. Zwło-



Fot. L. Gottdank, Sanok.

Powódź w Sanoku: Błonia pod Sanokiem, pokryte krą i wodą.



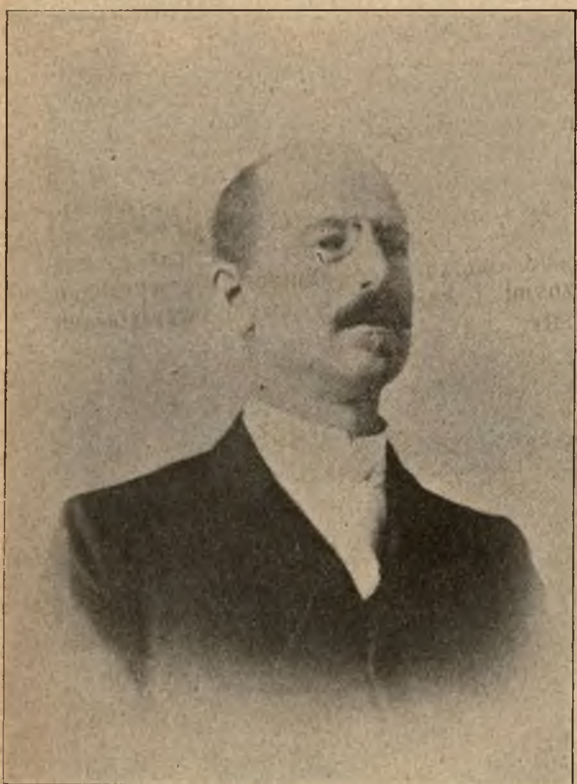
Fot. L. Gottdank, Sanok.

Powódź w Sanoku: Część miasta Sanoka, zalana wskutek wylewu Sanu.

ki śpiewaczki, według życzenia wyrażonego w testamencie, zostały spalone w krematoryum gotajskiem, a popioły pochowane na cmentarzu w Baden pod Wiedniem.

Powódź w Sanoku.

Straszna klęska nawiedziła w ubiegłym tygodniu miasto Sanok, klęska tem dotkliwsza dla ludności tamtejszej, że jeszcze nie zatarły się ślady takiej samej katastrofy zeszłorocznej. Nagłe podniesienie się temperatury spowodowało nagromadzenie się kry i lodów na Sanie tuż pod miastem Sanokiem w takiej masie, że woda nie mając dostatecznego ujścia wylała, zakrywając mętnemi falami całą dolną część miasta, czyniąc olbrzymie spustoszenia na wielkiej przestrzeni i niszcząc dobytek nieszczęśliwej ludności.



| Skon urzędnika-obywatela: Ś. p. Karol Misiński.

Rozmiary katastrofy zwiększyła ulewa, która przez dni parę nie ustawała; to też woda, wystąpiwszy z brzegów, rozlała się szeroko, zatapiając po drodze wszystko. Wpadała do mieszkań i budynków, unosiła napotkane w drodze przedmioty, drób, trzodę, lżejsze budynki, ogrodzenia itd.

Ludzie, zaskoczeni nagle straszliwą tą katastrofą, schronili się na strychy i dachy domów, oczekując tam ratunku i pomocy. Pomoc ta przyszła na telegraficzne wezwanie z Przemyśla, wysłany mianowicie został stamtąd oddział pionierów. Na szczęście też skończyło się tylko na olbrzymich stratach materyalnych, ludzie bowiem wszyscy zostali uratowani.

Wypadek ten dowodzi znowu, jak lekkomyślnie odnosi się rząd do najgwałtowniejszych, najpilniejszych potrzeb krajowych. Od tylu lat domaga się kraj regulacyi Sanu i jego górskich dopływów. Klęski powodzi powtarzają się często, powodując milionowe straty, wszystko to jednak jest niewystarczającem, aby odnośne czynniki skłonić do podjęcia regulacyi rzek.

Skon urzędnika-obywatela.

Nagłą śmiercią wyrwany został ubiegłego tygodnia we Lwowie z grona kolegów i przyjaciół jeden z najzacniejszych urzędników-obywateli. We środę nad ranem zmarł nagle śp. Karol Misiński, starszy radca i szef biura prezydyalnego wyższego sądu krajowego we Lwowie. Umarł licząc lat 65, z których 41 spędził w służbie sądowej, a to przeważnie jako „prezydyalista“, z początku jako sekretarz, a później jako szef biura prezydyalnego pod prezydentami Schenkiem, Simonowiczem, a ostatnio Tchorznickim, u wszystkich ciesząc się nietylko uznaniem i zaufaniem, ale szacunkiem i przyjaźnią. Wszyscy urzędnicy sądowi, a szczególnie młodsi, otaczali go prawdziwą miłością.

Poza obowiązkami urzędnika pełnił gorliwie i sumiennie obowiązki obywatelskie. Wszędzie był czynny, światłą radą i pomocą materyalną tak w



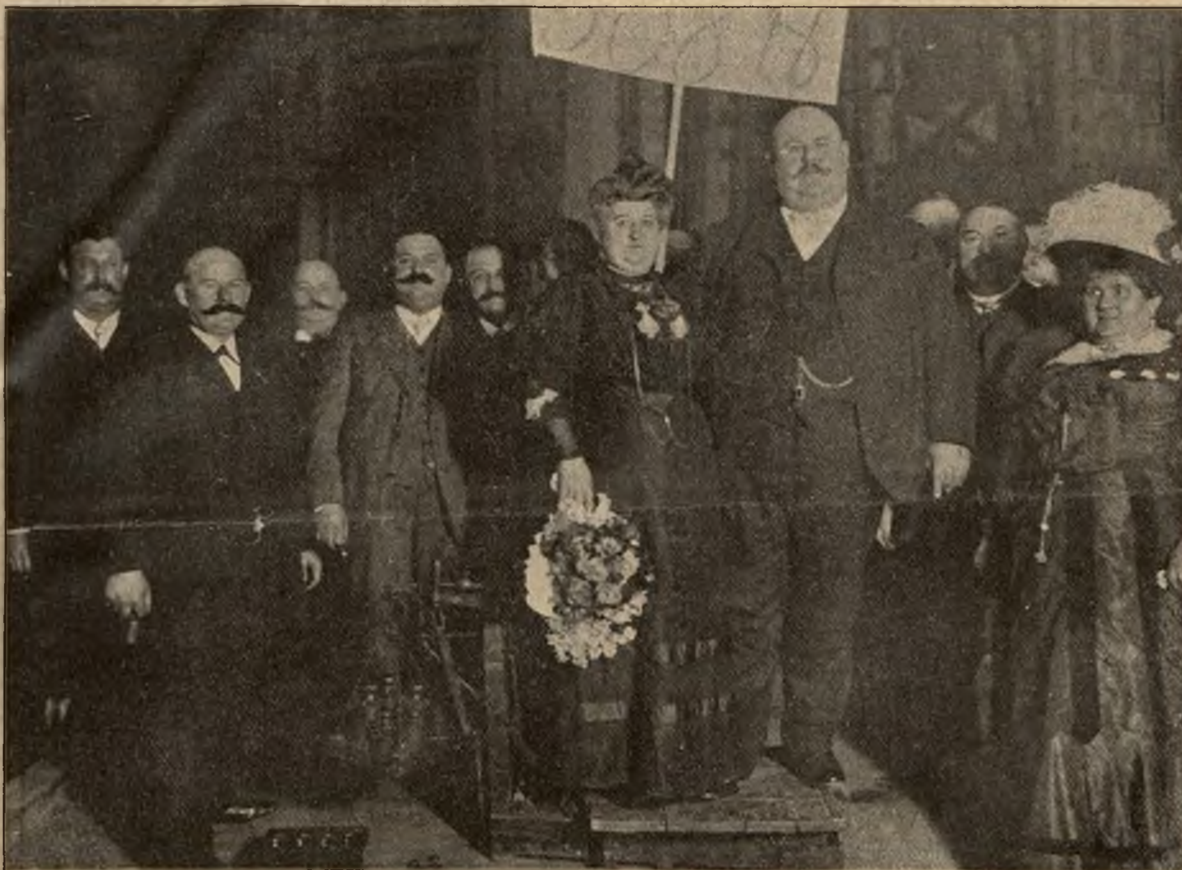
Zmiana w kierownictwie ruchu w Czerniowcach. Dr. Wiktor Hnidey.

instytucyach humanitarnych i filantropijnych, jak i dla ludzi nawiedzonych nieszczęściem, od losu upośledzonych. Skromny był i cichy w swojej ofiarności i gotów do niej zawsze, gdzie tego tylko by-



Aparatem redakc. W. Lis.

Krajowy kurs majsterski dla szewców w Krakowie: Uczestnicy tegorocznego kursu, w sali muzeum przemysłowego.



»Ciężki« zakład: Zdobywca pierwszej nagrody w otoczeniu reszty konkurujących par.

ła potrzeba. To też żadnego majątku nie zostawił po sobie, choć żył bardzo skromnie.

I nietylko w świecie urzędniczym, ale we wszystkich kołach towarzyskich śp. Karol Misiński otaczany był powszechnym szacunkiem i poważaniem dla swoich wielkich zalet i charakteru prawego i czystego jak łza.



ona b. arcyksięcia w zakładzie dla obłąkanych: Wilhelmina Adamowicz-Wölfliogowa.

Pogrzeb śp. Karola Misińskiego odbył się w iegły piątek przy tłumnym udziale sfer sądowych i przyjaciół oraz znajomych zmarłego.

Krajowy kurs majsterski dla szewców w Krakowie.

W ubiegłą niedzielę zakończył się ośmiotygodniowy, dziesiąty z rzędu krajowy kurs majsterski dla szewców w Krakowie. Kursa takie wprowadził do Galicyi Wydział krajowy, a jeden z pierwszych odbył się w r. 1898 w Krakowie, przy udziale najlepszych majstrów i czeladników szewskich.

Kursa takie mają doniosłe znaczenie dla rozwoju tej gałęzi rękodzieła. Pod kierunkiem bowiem fachowo wykształconych nauczycieli, zaznajamiają się uczestnicy kursów z ostatnimimi wynalazkami i ulepszeniami w dziedzinie szewstwa, tak że mogą następnie konkurować skutecznie z wyrobami zagranicznymi i kształcić w swych warsztatach młodsze siły.

Naukę na tegorocznym kursie prowadzili z ramienia Wydziału krajowego nauczyciel p. Proczuk oraz werkmistrz p. Wejers. Odbywała się ta nauka w krakowskiem Muzeum przemysłowem, a zakończyła ją wystawa wykonanych przez uczniów prac.

Zaślubiny księcia bułgarskiego.

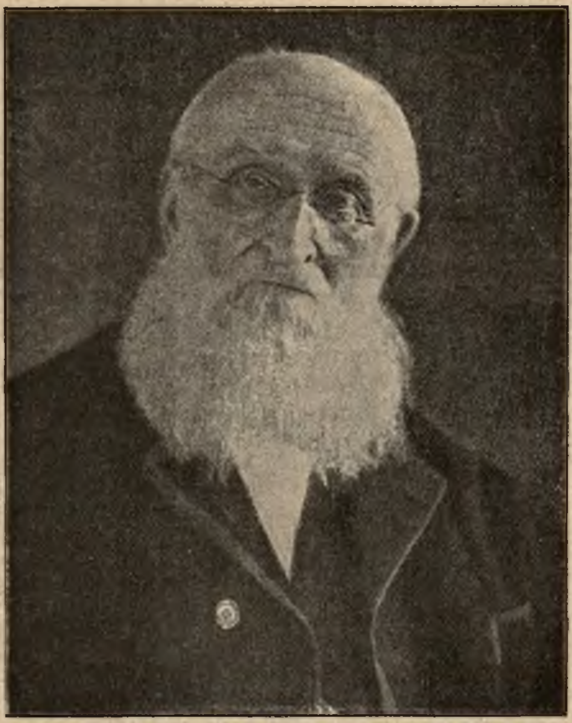
Dla zawarcia jednego związku małżeńskiego, musiał książe Ferdynand bułgarski odbyć aż trzy ceremonie ślubne ze swoją obecną małżonką ks. Eleonorą Reuss. Pierwszy raz bowiem poddali się według obowiązujących ustaw ślubowi cywilnemu, następnie brali ślub w Koburgu w kościele Augustyanów podług obrządku katolickiego, który wyznaje pan młody, i wreszcie po raz trzeci w kilka



Zaślubiny księcia bułgarskiego: Ks. Ferdynand bułgarski z obecną swą małżonką ks. Eleonorą Reuss, w strojach ślubnych.

dni po ślubie drugim, błogosławił ich w kaplicy na zamku Oberstein pastor protestancki, ponieważ panna młoda należy do kościoła protestanckiego.

Uroczystości weselne, które odbyły się dopiero na drugi dzień po trzecim ślubie, pomimo niezwykłej wystawności, miały charakter święta rodzinnego.



Skon głośnego filologa: Adolf Kirchhoff.

Wśród licznych podarków, jakie otrzymała para młoda, znajduje się i dar narodu bułgarskiego, sto pięćdziesiąt tysięcy franków, które wręczył księciu Starjew, bułgarski prezydent ministrów. Sumą tą rozporządzić ma według swego upodobania małżonka księcia.

„Ciężki" zakład.

Pewien berliński restaurator, odznaczający się niezwykłą tuszą, a wskutek tego i potężnym ciężarem ciała, wpadł na typowo niemiecki, niesmaczny dowcip urządzenia konkursu o nagrody dla najcięższych par małżeńskich. Do współzawodnictwa tego stanęło wielu opasłych Niemców, wraz z swemi połowicami, odznaczającemi się nietyle pięknością, ile wspaniałą peryferyą. Koszta nagród poniósł pomysłowy restaurator, mimo jednak wydatku tego, turniej przyniósł mu pokaźny dochód. Pary bowiem, które poddać się musiały surowym oględzinom celem stwierdzenia, czy nie mają przy sobie jakich obciążających przedmiotów, a potem publicznemu ważeniu, odbywały poprzednio w jadłodajni tego restauratora pewnego rodzaju *training*, polegający na możliwie największem objedzeniu się i opiciu piwem. Wskutek też tego wzrosła konsumpcya restauracyi, a równorzędnie zwiększyły się i dochody jej właściciela.

Rycina nasza przedstawia zwycięską parę małżonków, w otoczeniu reszty uczestników konkursu.

Skon wybitnego filologa.

Przed kilku dniami zmarł w Berlinie słynny współczesny filolog i badacz starożytności greckich i rzymskich, prof. Adolf Kirchhoff.

Urodzony w Berlinie w r. 1826 jako syn znanego batalisty, po skończeniu szkół średnich poświęcił się badaniom starożytności pod kierunkiem sławnego wówczas prof. Böckha. Pracami swojemi zwrócił wkrótce na siebie uwagę uczonych, wśród których zajął następnie jedno z pierwszych miejsc. Mianowany początkowo profesorem gimnazyalnym, przeszedł wkrótce na katedrę uniwersytecką w Berlinie, mianowany jeszcze poprzednio rzeczywistym członkiem berlińskiej akademii nauk.

Głównem jego dziełem, które wywołało swem ukazaniem się gwałtowną polemikę wśród europejskich filologów, była praca o powstaniu i kompozycyi Odyssei Homera. W dziele tem wykazywał Kirchhoff, iż Odyssea jest pracą zbiorową, powstałą w różnych epokach czasu.

Jako człowiek odznaczał się Kirchhoff wielką prawością charakteru i niezwykle dobrotliwem, pogodnem usposobieniem. W odróżnieniu od wielu berlińskich uczonych, którzy wyniki swej nauki



Minister-poeta: Minister dr. Alfred Ebenhoch.

stosują przedewszystkiem do wymagań rządu pruskiego, zmarły filolog uznawał jedyny tylko autorytet, a tym była prawda i wiedza.



Gniazdo sokole w Cieszynie: Grupa członków »Sokoła« w Cieszynie.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

14 Ciąg dalszy

Dossenau krzyknął piorunującym głosem:

— Nędzniku! jak śmiesz zbliżać się do mnie. Precz podły, niechcę cię widzieć nigdy w życiu, a biada ci, gdybyś do Heleny chciał się jeszcze zbliżyć.

Wolfgang osłupiał. Przejęty wrażeniami, które odkrycie tajemnicy na niego wywarło, ani na chwilę nie zastanowił się nad tem, po co Dossenau tu przybył, a że sumienie nic mu nie wyrzucało, więc też przypuszczać nie mógł takiego przywitania. Oburzenie go ogarnęło, ale od oburzenia silniejsze było pragnienie wyjawienia odkrytych tajemnic, dlatego nie zważając na zniewagi, przemawia uprzejmie:

— Ależ panie Dossenau, proszę się nie unosić, tylko cierpliwie posłuchać. Sprawa była nadzwyczaj nagła dla mnie, a nawet i dla pana tak ważna, iż poniekąd o naszem życiu rozstrzyga. Nie było pana w domu, więc nie mogłem wyjaśnić panu, że mój wyjazd do Condamine jest konieczny. Przysięgam, że nie popełniłem nic takiego, coby Helenie ubliżyć mogło.

— Milcz nędzniku! kłamco! — krzyknął Dossenau z wściekłością.

Tego już Wolfgang znieść nie mógł, wyprostował się i płomienny gniewem zbliżył się do Dossenaua.

— Przestań pan — zawołał, bo krzywdzisz nie mnie, ale siebie.

— Ha, ha!! — zaśmiał się szyderczo Dossenau i uniesiony szalonym gniewem odepchnął od siebie Wolfganga z taką siłą, że ten padł na wznak i rozbił głowę na kamiennych schodach werandy.

Ellinor widziała to z okna i przerażona wybiegła do ogrodu.

— Morderca! zbrodniarz! — zawołała i pochyliła się nad leżącym Wolfgangiem.

— Możeby to pani dogadzało po raz drugi zostać wdową — zawołał Dossenau szyderczo — ale nic mu nie będzie. Pieść go i całuj, a prędko wyzdrowieje i będzie panią pocieszał po stracie pana Rivallier. Rachunek z nami skończony, tylko za stłuczone zwierciadło odeślę należytość.

Przywołana służba przeniosła omdlałego i ciężko zranionego Wolfganga do apartamentu Ellinory. Ellinor cuciła omdlałego, posłała po lekarza, a Dossenau odszedł ponury, groźny, rozjuszony. Po drodze ogarnęło go osłabienie, jakie zwykle nastaje po gwałtownych uniesieniach, usiadł na ławce, wsparł głowę na dłoniach i rzewnie zapłakał.

XVI.

Wolfgang leżał nieprzytomny, bezwładny. Pewnego dnia doznał wrażenia, że go ogarnął sen twardy i że we śnie dręczą go jakieś zmory, że widma snują się koło niego. We śnie też widzi przy sobie czarne, promienne oczy, czuje gorący oddech, płynący z różanych, koralowych ust, czuje pocałunki płomienne, a zbudzić się nie może i słyszy nęcący, dźwięczny głos kobiecy, który mu szepce słowa miłości i mówi:

„Wyzdrowiejesz mój drogi, bo moja miłość uzdrowić cię musi. Pójdziemy w świat daleki sami, upojeni miłością i utworzymy sobie przybytek jasnego szczęścia. Nie będziemy się troszczyli o ludzi; możemy spokojnie żyć, bo ja nie jestem tak biedną, jakby się zdawało. Mój ojciec, przed katastrofą, zdołał ocalić dość znaczny fundusz, którym się ze mną podzielił. Znając rozrzutność hrabiego i przeczuwając, że pierwej lub później skończy, tak jak skończył, ukryłam dobrze pieniądze. Teraz mogę ich użyć swobodnie. Ale ty ich nie będziesz potrzebował, bo jesteś bogaty, bardzo bogaty. Należy ci się spuścizna po ojcu i tę oddać ci muszą. Gdyby Dossenau chciał cię skrzywdzić, wytoczymy proces. Dowody twoich praw niezbite. Tak, tak — mój drogi, mój miły, mój słodki — pamiętaj o tych chwilach uroczych, które spędziliśmy razem; teraz będą one trwały przez całe życie. Zapomnij o tej dziewce z lasu, a kochaj mnie tylko, mnie, która ci szczęście zgotuje".

Słyszy to Wolfgang, ale myśli, że to wszystko sen, przykry sen, dokuczliwy bardzo. Chciałby się zbudzić, a nie może. I te sny wciąż go trapią, wciąż jedne i te same, aż wreszcie zbudził się, oprzytomniał, rozejrzał dokoła, zdziwił się niezmiernie. Przy jego łóżku siedziała zakonnica.

— Co to jest? — zapytał słabym głosem. Czy jestem w klasztorze?

Zakonnica odpowiedziała mu po francusku, uśmiechając się pogodnie:

— Jakto dobrze, że pan się już zbudził. To nie klasztor, tylko mieszkanie życzliwej dla pana osoby. Przed trzema tygodniami padłeś pan nieprzytomny, z rozbitą głową na kamiennych schodach. Właścicielka tej willi nie chciała pana umieszczać w szpitalu w Mentonie, albo w Nizzy, tylko ofiarowała panu swoje mieszkanie i otacza pana staranną pielęgnacyą.

Teraz cała rzeczywistość roztoczyła się jasno przed oczyma Wolfganga. Przypomniał sobie wszystko. A więc przez trzy tygodnie leżał bez świadomości?

— Czy przez te trzy tygodnie nikt mnie tu nie odwiedzał? nikt się o mnie nie pytał?

— Nikt — prócz lekarza, który pana codziennie odwiedza i prócz pani Rivallier, która się o pana troszczy, jakby siostra o brata.

Żal mu ścisnął serce. Odepchnął go Dossenau, pogardziła nim widać i Helena. A więc stracił ją na zawsze! Twarz mu się skrzywiła boleścią, zakonnica przerażona sięgała po lekarstwo.

— Nie, nie — szeptał Wolfgang — tego mi nie potrzeba, tylko proszę mi powiedzieć szczerą prawdę, czy istotnie przez trzy tygodnie nikt o mnie się nie dowiadywał?

— Nikt panie — prócz lekarza i pani Rivallier...

I znowu twarz Wolfganga pokryła się straszną boleścią, zamknął oczy i już nic się nie odzywał, a nawet na pytania nic nie odpowiadał, i istotnie nie słyszał już teraz nic, prócz głosu rozpaczy, który mu szeptał złowrogo:

— Straciłeś Helenę!

Zaniepokojona zakonnica posłała po lekarza. Młody, elegancki Francuz przybył natychmiast, chorego zbadał, pokiwał głową i rzekł do zakonnicy:

— Właściwa choroba, lekkie wstrząśnienie mózgu, minęła szczęśliwie, rana też zupełnie zabliźniona, ale spokoju potrzeba i wrażeń miłych, łagodnych. Smutne myśli działać mogą zabójczo.

Słyszał to Wolfgang i zapragnął teraz myśli smutnych, zabójczych, bo życie straciło dlań powab, skoro Helenę utracił i szacunek Dossenaua, który mu tyle ojcowskiego serca okazał. Zgromadził też owe smutne myśli koło siebie i pieścił się niemi, rozkoszował, aż udręczony, osłabiony, zasnął twardo, snem pokrzepiającym. Zakonnica wyszła.

W kilka godzin zbudził się, rozejrzał dokoła i znowu rzeczywistość zaczęła szarpać mu serce. Rozsunęła się portyera i Ellinor weszła, promienna, uśmiechnięta, czarodziejskie mając spojrzenia.

— Chwała Bogu! już zdrów jesteś jedyny, najdroższy. Tylko miłych wrażeń ci potrzeba, więc przynoszę ci pieszczotę kochającego serca.

I usiadła przy łóżku chorego, głowę nachyliła ku jego twarzy tak, aby ustami wchłaniał jej gorący, namiętny oddech. Brylantami strojne palce wplotła w jego włosy, bujną piersią dotykała jego ramion. Wolfgang wzdrygnął się i spojrzał chłodno, odpychająco.

— Przez trzy tygodnie narażam panią na takie przykrości — mówił spokojnie. Bardzo przepraszam. Żałuję, że mnie do szpitala nie odwieziono, byłoby to lepiej dla mnie i dla pani.

— Wolfgang, najdroższy mój, jak ty to mówisz, jak ty przemawiasz do mnie, do tej, która cię tak kocha. Czyż to dla ciebie przykre, że nad tobą czuwam, że tyle nocy bezsennych spędziłam przy twojem łóżku, że tyle łez wylałam z niepokoju o ciebie.

— Co świat powie o pani?

— A cóż mnie to obchodzi, skoro kocham, kocham nad życie i wierzę w to, że miłość swoją mi wrócisz.

— Wdzięczny jestem, bardzo wdzięczny, ale byłbym wdzięczniejszy, szczęśliwszy, gdybym był w szpitalu.

— Ależ to było niemożliwe. Lekarz stanowczo oświadczył, że przewiezienie do szpitala w Nizzy lub w Mentonie, może być wprost zabójcze, więc otwarłam ci dom i serce.

— Za to zaciągnąłem dług wdzięczności, a spłacić go nie mogę.

— Spłacisz miłością.

— To niemożebne, bo prócz Heleny, żadnej innej kobiety nie kochałem i kochać nie będę.

— Mówisz w osłabieniu, lub w gorączce mój drogi. I czemże to zasłużyła na taką miłość owa córka leśniczego? Tem chyba, że tak łatwo, tak bez serca zdołała cię opuścić, nie spytawszy się nawet o ciebie. Odjechała z twoim stryjem bez żalu, bez niepokoju o ciebie.

— Gdyby nawet i tak było, gdyby ona mnie opuściła, ja zostanę wiernym miłości. Gdyby ona zapomniała o mnie, ja nie zapomnę o niej. Jeżeli pani ma dla mnie prawdziwą życzliwość, jeżeli mi wolno odwołać się do uczuć przyjaźni, to proszę, zaklinam o to, aby mnie teraz przeniesiono do najbliższego szpitala. Ja tylko śmierci pragnę, a śmierci spokojnej. Każda chwila jest tu dla mnie udręczeniem strasznem. Pani pojmie, pani to oceni. Ja nie mogę wywzajemnić się pani niczem zgoła, niczem, a niczem. Nawet moje ostatnie tchnienia będą do Heleny należały.

— Więc tyle samolubstwa, czy urojenia! Chory jesteś, osłabiony, sam nie wiesz, co mówisz. Gdy wyzdrowiejesz, musisz uznać, że byłoby niegodziwie porzucić mnie, odepchnąć za to, żem cię pielęgnowała dniem i nocą, gdy tamta pogardziła tobą; porzucić mnie i odepchnąć za to, żem tuląc cię chorego w mym domu, naraziła się na utratę opinii. I któż ci okazał miłość prawdziwą? ja, czy owa panna z lasu? Nie, nie, ty musisz być moim.

Wolfgang odwrócił się, westchnął i znowu ogarnęło go znużenie, znowu senność go ubezwładniła.

Weszła zakonnica. Ellinor wyszła po cichu, z wyrazem twarzy dzikim, namiętnym, zawzięta, groźna, straszna.

— Choćbym ty miał zginąć, choćbym ja miała życiem przypłacić, ta leśna dziewczyna nie będzie tryumfowała nademną.

* * *

Tego dnia wieczorem pogorszyło się choremu tak bardzo, że pielęgnująca go siostra miłosierdzia po lekarza posłała. Istotnie, stan był groźny. Pojawił się zanik sił, majaczenia i na nowo zadrażnienie mózgu wstrząsało organizmem. Lekarz oświadczył wyraźnie, że to musi pochodzić z nacisku niemiłych, dokuczliwych wrażeń, ze wzruszeń gwałtownych i jeżeli one nie ustaną, chory chorobie ulegnie. Siostra miłosierdzia widziała nieraz natrętne przymilania się Ellinory i łatwo domyśleć się mogła, że one działają tak szkodliwie na chorego. Nie taiła też swoich spostrzeżeń przed lekarzem, a skutkiem tego postanowiono nie wpuszczać Ellinory do chorego. I stała się rzecz niezwykła. Gdy Ellinor chciała wejść nazajutrz rano do pokoju Wolfganga, zakonnica zastąpiła jej drogę i stanowczo wstępu zabroniła. Nie pomogły prośby, perswazye, nawet gniew, tupanie nogami, zakonnica była niezłomna. Ta piękna Ellinor, uniesiona gniewem, wyglądała piekielnie. Zaciskała pięści, zagryzała usta, nareszcie i płakać zaczęła ze złości, ale to żadnego wrażenia na zakonnicę nie wywarło.

Wolfgang miał silny, zdrowy organizm, więc w ciszy, spokoju przebył szczęśliwie niebezpieczeństwo recedywy i po dwóch dniach był już przytomny, silniejszy. Rozwarł oczy, rozejrzał się i oko jego spoczęło na siostrze miłosierdzia.

— Już panu lepiej? prawda? — zapytała zakonnica z łagodnym uśmiechem.

— Niestety! Wolałbym, aby było gorzej, aby zasnąć i nie zbudzić się nigdy.

— Niech pan tak nie mówi, to grzech, to się nie godzi. Pan taki młody, że życie powinno się zaczynać u pana, a nie kończyć.

Wolfgang uśmiechnął się boleśnie i zaprzeczył głową. Zakonnica usiadła bliżej chorego i mówiła łagodnie, pogodnie, nawet poniekąd wesoło:

— Czy filozofia nie powiedziała panu, że spokój duszy jest prawdziwem szczęściem człowieka? A kiedyż go zyskujemy, z czego ten spokój zbudować? Z wiary, tylko z wiary. Wiara nam mówi, że wola Boża rządzi wszystkiem, wiara nam każe wierzyć w sprawiedliwość Bożą i Bożą opiekę. Nadzieja pomaga wierze w budowie spokoju duszy; tej pomocnicy wiary nie można nigdy się wyzbywać. Nawet w najgorszych, najdotkliwszych godzinach życia, nadzieja rozsłoni nam świetlany rąbek lepszej przyszłości. A jest jeden jeszcze robotnik, pracujący nad szczęściem człowieka, a to miłość. Miłość Boga, miłość ojczyzny, miłość bliźniego, miłość ideału, jakież to potężne dźwignie upadających duchów, jakie potężne źródła ludzkiego szczęścia. Jeżeli się nasuną nam na drodze życia kolce i ciernie, jeżeli nam pod stopami wyrastają rozpalone kamienie, nie rozpaczać nam trzeba i narzekać, ale wierzyć w sprawiedliwość Bożą, ale mieć nadzieję w miłosierdzie Boże, ale miłościwie znosić cierpienie, bo ono może na to zesłane, aby nas zahartować, aby podnieść ducha, albo też karą jest może za takie winy, których się pan uznać w sobie nie chciało.

— Gdyby to można wierzyć w odzyskanie straconego szczęścia?

— Zawsze trzeba wierzyć! Dziś pan zdrowszy, silniejszy, więc mogę pana pocieszyć czemś, czego wpierw uczynić nie mogłam, lękając się nieporozumień, zamętu, któreby na panu wstrząsające wrażenie wywrzeć mogły. Tylko spokojnie proszę słuchać. Jest ktoś, kto za murami tego domu czuwa nad panem, modli się za pana, ktoś, co pragnie tu być przy panu.

— Siostro, siostro, mów pani wszystko.

— Ależ powiem, powiem, tylko spokojnie proszę słuchać, a bez wzruszeń. Tego samego dnia, kiedy pan zachorował, przyszła tu jakaś młoda, piękna osoba i dowiadywała się o pańskie zdrowie, prosząc, aby pana zobaczyć mogła. Przyjęła ją pani Rivallier i rozmawiała z nią żywo. O czem? tego nie słyszałam, ale widziałam, że gdy owa pani wychodziła, miała łzy w oczach, a pani Rivallier bardzo szorstko, wprost obrażająco ją pożegnała.

— Straszne! Boże! odpędzono ją nikczemnie. Co za niegodziwość — zawołał Wolfgang.

— O, jeżeli tak, to nie powiem już nic więcej. Niechże pan już teraz uważa na siebie, na swoje zdrowie, skoro do smutku i rozpaczy nie będzie powodu.

— Mów siostro, mów. Twoje słowa to najlepsze lekarstwo. Będę spokojny, posłuszny jak dziecko.

— Otóż od owego przykrego pożegnania owa pani już nigdy nie przekroczyła progu tego domu, ale codziennie czekała w pobliżu, aby mnie zobaczyć i dowiedzieć się czegoś o panu. Musiałam jej opowiadać wszystkie szczegóły przebiegu choroby. Szlachetność, dobroć, skromność, malujące się na twarzy tej osoby, ujęły mnie bardzo, jak również najtkliwsza troskliwość o pańskie zdrowie. Pewnego razu prosiła mnie, abym wyjednała u pani Rivallier pozwolenie zobaczenia pana, bodaj raz jeden, bodaj na minutę. Chciałam chętnie spełnić jej życzenie, ale skoro tylko zaczęłam o tem mówić, hrabina popadła w gniew nieposkromiony i opowiedziała mi tak brzydką, wprost wstrętną historyę o tej pannie, że zaniechałam dalszych słów prośby. Opowiadanie hrabiny rozbudzało pogardę dla tej osoby, nawet więcej niż pogardę, bo obrzydzenie. Nie miałam powodu wątpić w słowa pani Rivallier, widząc, jak troskliwie zajmuje się pielęgnacyą pana, uznając te ofiary, których nie szczędzi, by panu na niczem nie zbywało. Upewniła mnie też pani Rivallier, że widok owej osoby musiałby na pana podziałać najszkodliwiej, że jej wpuszczać nie można, a nawet wspominać o niej się nie godzi. Pani Rivallier zdołała i lekarza przekonać, tak że nawet lekarz mi polecił, abym o niej nie wspominała panu. Dlatego też powiedziałam, że nikt się o pana nie pytał. Było to kłamstwo, nakazane przez lekarza, a więc dopuścić się go musiałam. Tymczasem przekonałam się, że pani Rivallier nie była szczerą, że kierowała się nie względami na pańskie zdrowie, ale brzydkiem samolubstwem i planami, które mimowoli spostrzedz i poznać musiałam. Dlatego, po naradzie z lekarzem, postanowiłam wyjawić panu całą prawdę, skoro tylko zdrowie pańskie na to pozwoli. Wyjaśnić prawdę nakazuje wzgląd na zdrowie pańskie, gdy się pokazało, że pani Rivallier była nieszczerą, a skoro właśnie jej zachowanie się względem pana szkodliwe dla pańskiego zdrowia. Takie było zdanie lekarza i do niego się stosuję.

Wolfgang nie przerywał, chociaż kipiało w nim oburzenie, chociaż serce mu z bólu pękało, że tak strasznie skrzywdziła Helenę ta potworna kobieta. Nie przerywał, bo równomiernie doznawał radości, że Helena go nie opuściła, że kocha go, że mu ufa. Jaki to zapał siły włożył Bóg w serce człowieka! Takie uczucia sprzeczne, takie gwałtowne, takie wstrząsające, a jednak zniósł je chory Wolfgang i spokojnie słuchał i słuchał. Radość, że Helena go nie opuściła, była większą od pogardy dla Ellinory, jak większą bywa u ludzi uczciwych: miłość od nienawiści, i oto owa radość dała mu tyle mocy, że zdołał się oprzeć wstrząśnieniom oburzenia.



Wolfgang pochwycił rękę zakonnicy i ucałował ją ze łzami.

Nastała cisza; zakonnica przerwała opowiadanie, aby chorego nie znużyć, nie przytłoczyć wrażeniami. Ciszę przerwał Wolfgang bolesnem westchnieniem:

— Takie kłamstwo! takie nikczemne kłamstwo! Boże! wszak to potworność! A cóż dalej się stało? Czy siostra nie wyrządziła jej przykrości jakiej?

— Naszem zadaniem nieść ulgę cierpiącym, a nie wyrządzać przykrości komukolwiek.

— Przepraszam siostro, przepraszam. Ale co się potem stało? czy siostra ją widziała?

— Rzeczywiście, boć przecież musiałam jej odpowiedzieć, że pani Rivallier nie zgadza się na to, aby ona pana odwiedziła. Odpowiedziałam jej o tem chłodno, zostając wtedy pod wpływem owych wstrętnych opowiadań hrabiny. Łzy spłynęły po jej twarzy, odeszła smutna, zgnębiona, ale nazajutrz ponownie czekała na mnie, aby się dowiadywać o pańskie zdrowie, jak zwykle. W kilka dni potem zobaczyłam ją siedzącą na ławce, zapłakaną. Nie spostrzegła mnie. Żal mi jej było, więc sama zbliżyłam się do niej i przemówiłam ze współczuciem: „Pani płacze? czy może jakie nieszczęście?" Usłyszawszy mój głos, zerwała się z ławki i gorączkowo mówić zaczęła: „Siostra była dla mnie tak dobrą z początku; później dostrzegłam, że mi już nie okazywała tyle dobroci. Nie wiem dlaczego i pytać nie śmiem, ale mam prośbę, ostatnią, a bardzo gorącą prośbę. Mój opiekun wyjechał przed dziesięciu dniami z powrotem do Niemiec. Ja nie mogłam się oddalić od chorego, którego siostra pielęgnuje, nie mogłam. Opiekun oburzył się na to i aby mnie zmusić do wyjazdu, nie zostawił mi żadnego funduszu na dalszy pobyt. Ze skromnych oszczędności zebrałam fundusik niewielki i nim opędzałam jak mogłam najpierwsze potrzeby życia, ale zapas się wyczerpuje, więc będę musiała wracać do Niemiec. Gdybym mogła znaleść jakąś pracę, jakie zajęcie, aby zarobić na utrzymanie, zostałabym tu najchętniej, ale w obcym kraju spodziewać się tego nie mogę. Muszę niestety wyjechać, muszę go opuścić. Błagam cię siostro, wyświadcz mi tę łaskę i powiedz mu, że się dla niego nie zmienię nigdy, że mu ufam, że nie wierzę temu, co opiekun o nim powiedział, że zostanę mu wierną do ostatniego tchnienia życia, że będę się modliła, aby był szczęśliwy, aby Bóg czuwał nad nim". Mówiła to z taką szczerością, tak spokojnie, choć łzy ją dławiły, że musiałam nabrać o niej innego wyobrażenia, niż mi je pani Rivallier wpoić usiłowała. Przejęta współczuciem dla tej nieszczęśliwej osoby, prosiłam, aby jeszcze kilka dni pozostała, bo w ciągu tego czasu zdołam może to sprawić, aby się jej życzenia spełniły, aby sama powiedziała panu to, co ja miałam w jej imieniu powiedzieć.

Wolfgang pochwycił rękę zakonnicy i ucałował ją ze łzami.

— Siostro, aniele opiekuńczy, niech ci Bóg nagrodzi. Brak mi słów; nie wiem, co mówić. Siostra ocalisz mi życie. Ja będę zdrów, zaraz, bylebym ją zobaczył. Przecież to moja narzeczona, ukochana, najdroższa istota na ziemi. Najzacniejsza, najskromniejsza, godna czci każdego człowieka. A ta nikczemna, ta Putyfara, ten wampir mojego szczęścia, obłudnica...

— O, spokojnie, spokojnie mój pacyencie, bo umyję ręce od wszystkiego — rzekła zakonnica uśmiechając się łagodnie. Nie tak to łatwo wprowadzić ją do tego domu, skoro pani Rivallier czuwa bezustannie i na chwilę się nie wydala.

— Niech siostra pomyśli nad tem, niech siostra pamięta, że zobaczenie Heleny, to jedyne i prawdziwe lekarstwo. Za tę straszną krzywdę, której doznała od tej... niegodziwej, za cierpienie, za łzy, powinna mieć nagrodę w tem, że się przekona, iż jej nie zdradziłem, że ją kocham, ją tylko jedyną. Zaklinam na Boga, uczyń siostro, abym Helenę zobaczył.

Nadszedł lekarz, przerwała się rozmowa. Zakonnica usunęła się w kąt pokoju, lekarz badał chorego długo, rozmawiał z nim, dopytywał się o to i owo. Znużony Wolfgang zasnął po odejściu lekarza spokojnie, twardo. Po kilku godzinach zbudził się pokrzepiony, silny, czerstwy, jakby już zdrów był zupełnie; nie czuł już w sobie przebytej choroby. Rozejrzał się dokoła uśmiechnięty, szczęśliwy, bo pełen nadziei, że Helenę zobaczy. Zakonnicy nie było. Pewnie poszła po Helenę. Spoziera na zegar, naprzeciw łóżka stojący i liczy minuty, kwandranse. Nadsłuchuje, czy kto nie wchodzi. Serce mu bije radośnie, z wyczekiwania ukochanej.

Zapukano do drzwi. Chciał zawołać, ale mu głos zamarł w ustach ze wzruszenia; był pewien, że to Helena. Więc patrzy ku drzwiom, jakby ku furcie do raju, czy nieba wiodącej, słyszy, że się otwierają, patrzy... To nie Helena. Lekkim, powiewnym krokiem wsunęła się wystrojona, lubieżnie zalotna Ellinor, z obnażonemi ramionami, które wysuwały się do uścisku z szerokich rękawów kaftanika. Podbiegła do łóżka, uklękła i chciała zarzucić ramiona na szyję Wolfganga, ale on odepchnął ją z całej siły i zawołał:

— Precz odemnie niegodziwa obłudnico! nie dotykaj mnie. Czyż na to ocaliłaś mi życie, aby je potem zatruć? Myślałaś może, że przez wdzięczność, za udzielenie schronienia choremu, zostanę twym niewolnikiem, że ulegnę twym kaprysom? twym...

— Wolfgang! — krzyknęła Ellinor i namiętnie objęła ramionami jego głowę, zarzuciła go pocałunkami, paliła namiętnym oddechem, to znowu zalana łzami odezwała się półszeptem:

— Zabij mnie, a nie odpychaj. Jeżeli to prawda, że pokochałeś mnie wtedy, pamiętasz, onej księżycowej nocy, to za cóż teraz mnie nienawidzisz? Co ci uczyniłam złego, że chciałeś mnie odtrącić? Ta, którą to niby kochasz, jak ci się zdaje, pozostawiła cię na łaskę losu, opuściła obojętnie, a ja otoczyłam cię opieką z najgorętszej miłości płynącą.

(Dokończenie nastąpi).

Smutny koniec.

W niedługim już czasie Wenecya utracić ma z rozporządzenia władzy miejskiej swą najpiękniejszą ozdobę, jakiej drugiej niema na świecie całym. Państwo gołębie, którego stolicą od najdawniejszych czasów był plac św. Marka, zostało uznane za niebezpieczne dla całości królowej Adryatyku. Biedne gołębie, symbolizujące miłość i świątobliwość, okazały się groźnym nieprzyjacielem całości arcydzieł architektury, z jakich słynie Wenecya. Wydaje się to na pozór nieprawdopodobnem, a jednak jest prawdziwem. Masy gołębi, obsiadające frontony pałaców weneckich, zanieczyszczają je do tego stopnia, że grozi to psuciem się ich i niszczeniem. Rada miejska wenecka miała więc dwie alternatywy do wyboru, albo gołębie, albo pałace. Wybrała pałace, skazując gołębie na banicyę.



Smutny koniec: Gołębie na placu św. Marka w Wenecyi, skazane na zagładę.

Skazanie humorysty na rok twierdzy.

Silne wrażenie sprawiło w warszawskich sferach literackich skazanie przez izbę sądową redaktora „Szczutka“, p. Adolfa Starkmana na rok twierdzy za przestępstwo prasowe z artykułu 128 kodeksu o karach (obraza Majestatu).

Kara ta była tem mniej przewidywaną, że numer z inkryminowanym rysunkiem humorystycznym nie był wcale podpisany przez p. Starkmana, lecz przez właściciela koncesyi.

Oskarżonego dzielnie bronił mec. Lemański, sąd jednak obrony nie uwzględnił.

Skazany wnosi przeciw wyrokowi kasacyę do senatu. Dodać trzeba, że sympatycznemu i utalentowanemu humoryście-redaktorowi towarzyszy ogólne współczucie wśród szerokiej publiczności warszawskiej.

Redaktor Starkman pozostaje na wolnej stopie za kaucyą pieniężną.

Wyścig wśród zasp śnieżnych.

O losach ekspedycyi wyścigowej z Nowego Jorku do Paryża dochodzą coraz niepomyślniejsze wieści. Na kilkaset metrów przed Chicago, ujrzeli wyścigowcy przed sobą zamiast równych dróg amerykańskich, bezbrzeżną pustynię, pokrytą na kilka metrów wysoko miękkim śniegiem. Wszelkie wysiłki przebicia się przez ten mleczny pokrowiec ziemi, okazały się daremnymi, samochody ugrzęzły w śniegu, nie mogąc ruszyć naprzód. Nie było innej rady, jak wysiąść i wszelkiemi narzędziami, jakie znalazły się pod ręką, odkopywać drogę dla benzynowych rumaków.

Wielką uprzejmość okazał uczestnikom wyścigu sportsmen amerykański d'Albany, który wyjechał z Chicago na ich spotkanie i zarządził na znacznej przestrzeni przekopanie toru wśród gór śnieżnych. Amerykański szoffer Robert, jadący na „Thomasie“, znalazł najlepsze wyjście, gdyż zamiast walczyć ze śniegiem, wjechał na oczyszczony tor kolejowy i po nim pomknął naprzód; zarząd kolei okazał się na tyle uprzejmym, iż wstrzymał nawet ruch pociągów, byle tylko automobilista nie zaznał żadnej przeszkody. On też pierwszy przybył do Chicago, witany owacyjnie przez ludność. Za nim nadjechali dwaj inni automobiliści. Reszta samochodów pasuje się jeszcze z zaspami śnieżnemi, choć poprzednicy ich ułatwili już przejazd w znacznej mierze.

Ruch antipruski na prowincyi.

(Do illustracyi na str. 3.)

Że można rozwinąć szeroką akcyę w sprawie gwałtów pruskich i bojkotu pruskiego przemysłu bez tworzenia rozmaitych komitetów z prezesami i wiceprezesami, udowodnił maleńki, górski powiat limanowski.

Jeszcze w grudniu zeszłego roku postanowiło kilkoro ludzi z Limanowej ruch antipruski rozwinąć wśród ludu wiejskiego po całym powiecie. W tym celu jeden z nich napisał broszurkę w sprawie gwałtów pruskich i obrony polskiej, drugi zajął się przygotowaniem obrazków skioptikonowych i zakupnem aparatów, zyskano kilkaset koron zasiłku na ten cel, a wreszcie wydrukowano odezwę do ludu w formie olbrzymich afiszów. Kiedy przygotowania były już skończone, przystąpiono do właściwej akcyi. Prowadzą ją wyłącznie nauczyciele ludowi, wygłaszając każdej niedzieli po dwa odczyty popularne, wyjaśniając ludowi na odpowiednich obrazkach, jak ciężką jest dola braci naszych w zaborze niemieckim i jak świętym obowiązkiem naszym jest zwalczać przemysł wrogich nam Prusaków, a popierać wyłącznie nasze swojskie wyroby. A że wykłady takie są zajmujące, że illustrują je wyraźne i przemawiające do wyobraźni wieśniaka obrazki, przeto na odczytach gromadzą się zawsze tłumy słuchaczów, a stąd akcya antipruska odnosi duże skutki.

Pożądaną byłoby rzeczą, aby za przykładem tych ludzi dobrej woli z Limanowej, poszły instytucye oświatowe w innych stronach kraju naszego, zwłaszcza że akcya taka nie wymaga ani wydatków wielkich, ani nie jest połączona z trudnościami, a zawisła prawie wyłącznie od dobrej woli i chęci.



Skazanie humorysty na rok twierdzy: Adolf Starkman, redaktor »Szczutka«.

Zmiana w kierownictwie ruchu w Czerniowcach.

(Do illustracyi na stronie 8).

W niedzielę 1 bm. opuścił Czerniowce dr. Wiktor Hnidey, radca rządu i kierownik ruchu kolej. w Czerniowcach, powołany do ministeryum kolej. we Wiedniu, jako szef nowo utworzonego departamentu w sprawie reorganizacyi kolei państwowych.

Pożegnanie ustępującego kierownika nastąpiło w budynku ogrzewalni i warstatów kolej., wieczorem zaś dnia tego odbył się na cześć dr. Hnideya bankiet pożegnalny, przy udziale 200 urzędników kolei państw.



Wyścig wśród zasp śnieżnych: Sportsmen amerykański d'Albany, w czasie uprzątania drogi dla wyścigowców.

Dr. Hnidey, urodzony na Bukowinie, ukończył szkoły średnie i studya uniwersyteckie w Czerniowcach, ze stopniem doktora praw. Wstąpiwszy tam w r. 1894 do służby kolejowej, pracował następnie przez parę lat w ministeryum a od roku 1902 sprawował kierownictwo ruchu w Czerniowcach, otrzymawszy z chwilą rozszerzenia zakresu działania tamtejszego kierownictwa ruchu, tytuł i charakter radcy rządu. Znany i wysoko poważany w najszerszych kołach towarzyskich na Bukowinie, należał do najwybitniejszych postaci świata urzędniczego. Sam nadzwyczaj pracowity, pilny i wzorowy urzędnik, uznawał i cenił te zalety u swych podwładnych i każdemu z nich zawsze dłoń pomocną podawał, czem zyskał ogromną popularność w najszerszych sferach kolejnictwa. Także budowa nowego dworca, nowy budynek administracyjny, rozszerze nie stacyi kolej. i t. d. są jego wyłączną zasługą. W uznaniu tych zasług, położonych około kolejnictwa na Bukowinie, został dr. Hnidey odznaczony orderem żelaznej korony III klasy. Odjeżdżającego na nowe stanowisko szefa żegnało kilkuset funkcyonaryuszów kolei państw, przyjaciele i liczni znajomi z różnych sfer towarzyskich.

Kronika tygodniowa.

W ostatnim zeszycie „Statystyki miasta Krakowa“ znajdziemy kilka cyfr wcale ciekawych, rzucających światło na stosunki naszego kochanego grodu.

Dowiadujemy się naprzód, że w r. 1900 żyło w Krakowie niepocieszonych wdowców 863, a niepocieszonych wdów 4452, czyli że na jednego wdowca przypadało przeszło 5$^1/_6$ wdówek. Dowód w tem, iż mężczyźni są znacznie lepsi, widocznie bowiem trapią się i gryzą po niepowetowanej stracie i stąd prędko schodzą do grobu, aby połączyć się ze zmarłym aniołem; wdówki natomiast łatwo osuszywszy łzy, pocieszają się prędko i żyją sobie aż do śmierci.

Ta hiperprodukcya wdów wpływa ujemnie na kojarzenie się małżeństw. Gdzie jest 4452 wdów, tam z natury rzeczy musi być conajmniej 4452 pocieszycieli, czyli że 4452 mężczyzn w sile wieku unika pętów małżeńskich, zadawalając się osuszaniem łez wdowieńskich. Następstwem tego znowu jest, że 4452 dziewic doletnich nie znajduje stałego, uznanego przez Kościół i prawo zaspokojenia potrzeb swego serca. Temu też tylko przypisać należy, że zaledwie 27% mieszkańców Krakowa żyje w błogosławionym stanie małżeńskim. Usuńmy wdówki, a przybędzie 4452 par, połączonych dozgonną miłością, co stanowi razem osób 8904. Wówczas nie 27 a 37% mieszkańców Krakowa będzie odbywało we dwójkę wspólną doczesną pielgrzymkę. I nie będzie skandalu, że Kraków w stosunku ilości wdów do wdowców zajmuje pierwsze miejsce w państwie, pomimo że osób owdowiałych wogóle, bez różnicy płci, jest daleko więcej w Wiedniu (62 na 1000), w Gracu (75 na 1000), w Pradze (71 na 1000) niż w Krakowie (58 na 1000). Że Kraków stał się istnym składem wdówek dowód i w tem, że na 77 powiatów galicyjskich (z których 33 ma więcej niż Kraków ludności) tylko 4 wykazują większą ilość wdów, a w 46 jest więcej wdowców niż w Krakowie.

Wobec tego faktu, wobec wzmagającej się epidemii starokawalerstwa i staropanieństwa, sądzić należy, że świeżo wybrani posłowie zażądają od kraju gruntownej sanacyi stosunków krakowskich. Mam nadzieję, że i przystępująca do odnowienia się Rada miejska zechce przedsięwziąć środki zaradcze przeciw przepełnieniu Krakowa wdowami. Nie zalecam wprawdzie środka używanego z powodzeniem w Indyach (palenie na stosie), jest on bowiem zbyt radykalny, a i z powodu drożyzny drzewa za kosztowny, ale należałoby np. znieść wdowie emerytury, co zmusiłoby nasze białogłowy do większego starania o zdrowie swych mężów, do mniejszego zatruwania im życia — (olbrzymia ilość wdów w Krakowie najlepiej świadczy, że mężowie krakowscy należą do istot najnieszczęśliwszych). Jeżeli pociąga się do odpowiedzialności bankrutów i uwalnia się tylko tych, co udowodnią, że nie przez własną winę w niewypłacalność popadli, to tem więcej należałoby każdą wdowę pozywać przed sąd i te, które z własnej winy skarb w postaci męża utraciły, roztrwoniły, skazywać na więzienie lub jeszcze lepiej: na wyświecenie z miasta. Możnaby wreszcie wdowom zabronić wszelkich flirtów z nieżonatymi mężczyznami; wdowa schwycona na gorącym uczynku wyładowywania niedozwolonych uczuć, winna być skazaną na najsroższą karę dla kobiety, to jest na ucięcie języka.

Są jeszcze inne ciekawe szczegóły we wspomnianym zeszycie statystyki Krakowa. W r. 1900 liczył nasz gród 23.108 analfabetów. Fakt ten jest smacznym kąskiem dla tych, co *urbi et orbi* ogłaszają o niesłychanej naszej ciemnocie. Ale nieuprzedzony zauważy odrazu, że w tych 23.000 mieszczą się dzieci do lat 8, a tych Kraków posiada koło 8.000. Dalej wielki procent analfabetów przypada na ludzi starszych, którzy jeszcze nie mieli gdzie się uczyć. Więc jedynie racyonalny pogląd na stopień rozszerzania się oświaty można sobie wyrobić z ludności od 12 do 31 roku życia. Otóż pomiędzy tymi, co mają lat 12 do 31 jest 17% analfabetów, a między młodzieżą od lat 12 do 21, niecałe 10% (9·70). A więc oświata idzie w górę i to szybkiem tempem. Ba! trzeba jeszcze i to zauważyć, że do tych 10% analfabetów niesłusznie zaliczani są żydzi, umiejący czytać i pisać tylko po żydowsku.

Za to między żydami krakowskimi są i tacy, co mówią tylko po niemiecku i język ten podali w spisie ludności jako macierzysty. Wprawdzie statystyka urzędowa nazywa ten język „towarzyskim“, ale wiemy, że ów język towarzyski stanowi jedyną podstawę do obliczenia narodowości. Takich żydów, uznających się za Niemców, było w r. 1900 w Krakowie blisko 20%, bo 4284 na 24.000 ludności wyznania mojżeszowego. Prócz nich tylko 2292 osób podało język niemiecki jako ojczysty. Stąd wniosek, że Niemców rdzennych, od wieków u nas osiedlonych, mamy równo dwa razy więcej, niż przybyłych, czasowo mieszkających — ta tylko między nimi różnica, że pierwsi zapewne w zeszłym wieku przeszli na łono wyznania mojżeszowego, a drudzy należą do kościoła katolickiego i ewangelickiego.

Ciekawa rzecz, czy ci ostatni zachowują zwyczaj panujący na dworze głowy ich Kościoła, t. j. na dworze króla pruskiego, a który to zwyczaj wywołał nieporozumienie między dworami pruskim i duńskim. Idzie tu o... podwiązkę. Narzeczona trzeciego syna cesarza Wilhelma, księżniczka duńska Dagmara, nie chce na żaden sposób zgodzić się na pewien szczegół ceremoniału weselnego, zachowywany tradycyjnie na dworze pruskim. Oto po ślubie, kiedy wszyscy już siedzą przy uczcie weselnej, jeden z wielkich dygnitarzy ma obowiązek wleść niepostrzeżenie pod stół i zdjąć podwiązkę z nóżki panny młodej; poczem marszałek dworu kraje podwiązkę i rozdaje jej cząstki na pamiątkę gościom weselnym. Księżniczka Dagmara w żaden sposób nie chciała zastosować się do tego zwyczaju, uważając go za nieestetyczny, nieprzyzwoity i ubliżający godności kobiecej. Wiadomo jednak, że dworowi pruskiemu nigdy bardzo nie chodziło o estetykę, przyzwoitość i godność kobiecą — owszem ten ordynarny symbol oddania ciała dziewiczego w posiadanie mężczyzny bardzo się temu dworowi podoba. Więc cesarz Wilhelm postanowił nie ustąpić — a dwór duński znowu stanął po stronie księżniczki Dagmary. Musiała zatem wkroczyć... dyplomacya. Podobno poza plecami cesarza Wilhelma przeprowadzono kompromis, na mocy którego księżniczka Dagmara sama rzuci pod stół podwiązkę. Straci na tem tylko ów dygnitarz od rozwiązywania podwiązki, obowiązek ten bowiem bądźcobądź nie był pozbawionym pewnej przyjemności.

Małą nieprzyjemność sprawił naszym artystom p. Chwalibóg w „Słowie Polskiem“. Zwrócił on uwagę na to, co — nawiasem mówiąc — piszący te słowa parokrotnie już zaznaczał, iż pisma nasze mają zwyczaj przytaczać tylko pochlebne zdania, jakie o naszej sztuce wygłasza prasa zagraniczna, a pomijają tendencyjnie wszystkie ujemne zagraniczne o niej sądy. Wprowadza się w ten sposób w błąd naszą publiczność i utrwala się zbyt wysokie mniemanie o sobie pewnych jednostek — a to nie droga do postępu, do udoskonalenia naszej sztuki. Przesadne pochwały wyrządzają taką samą krzywdę artystom, co przesadne nagany. Po wystawie naszej „Sztuki“ w Düsseldorfie jeden z krytyków napisał: "Von den Polen ist überhaupt nichts zu sagen" — inny znowu w Wiedniu zapytał: "Wann fangen eigentlich die Polen zu malen an?" Tego rodzaju złośliwości nie powinny ważyć na szali sądu o naszej sztuce, ale nie można znowu przejść do porządku dziennego nad tym wiedeńskim krytykiem, który rzeczowo, choć ostro, oceniając nasz dorobek artystyczny na wystawie w Hagenbundzie, skazał kilku członków „Sztuki“ na „trzy lata akademii, obostrzonych kopiowaniem starych mistrzów“. Przykrem jest zapewne, ale znamiennem, że poważny miesięcznik angielski „Studio“, poświęcony przeważnie sztuce, w swoim czasie zbył trzema wierszami wystawę naszej „Sztuki“ w St. Louis. Pan Chwalibóg słusznie występuje przeciw przesadnym reklamom, przeciw reporterskim opisom, w których są tylko hymny pochwalne, a niema sumiennej oceny.

Przesada u nas zresztą jest na każdym kroku. Szanuję np. bardzo mieszczaństwo lwowskie, wolę nawet jego często aż śmieszną „niezawisłość“ od sfer inteligencyi, niż lokajstwo mieszczaństwa, spotykane w pewnym innym naszym grodzie — ale choćbym dziesięć razy więcej cenił tych, co się skupiają obok „Strzelnicy“ lwowskiej, to jeszcze nie mógłbym wstrzymać się od serdecznej wesołości, czytając taki ustęp czarno na białem drukowany: „Sława i honor mieszczaństwa lwowskiego to najpiękniejszy brylant w złotej koronie naszej Ojczyzny. Urok potęgi tego mieszczaństwa promienieje dotąd w całej Polsce i jest aureolą sławy ojczystej“. Jeżeli kto nie wierzy, że takie słowa mogły być drukowane, niech się zgłosi do mnie, a podam mu tytuł pisma i numer, w którym ten wyskok przesadnego pochlebstwa był umieszczony.

Przesadą zapewne jest wieść, jaka rozeszła się po Krakowie, że na balu prasy „pękło“ 500 butelek szampana, choć znam takich, co dają za to „swoją głowę“ i ręczą „słowem honoru“. Ponieważ jednak wartość tych głów nie jest dostateczenie „wypośrodkowana“ (polecam ten wyraz sekcyi czystości języka w „Straży Polskiej“), a „słowa honoru“ spadły w cenie, przeto obniżam ilość tych butelek do połowy. W każdym razie nawet i 250 wypróżnionych flaszek szampana na jednym balu świadczą wymownie o świetnym stanie finansowym mieszkańców Krakowa. I to mi daje nadzieję, że wobec potwierdzenia statutu wspomnianej „Straży“, instytucyi mającej na celu najdonioślejsze narodowe zadania, posypie się do jej kasy taka moc złota i banknotów, iż komitet będzie w niemałym kłopocie, co zrobić z tak wielkim kapitałem. Ostrzegam zatem szanownych Krakowian i piękne Krakowianki, aby nie nadużywali swej ofiarności — niech każdy i każda poprzestanie na zapisaniu się do „Straży“ i złożeniu na jej cel drobnej rocznej wkładki (już za 2 kor. 40 h. można być zwyczajnym członkiem). Niech się znajdzie tylko 100 takich w Krakowie, co złożą jednorazowo, to jest raz na całe życie, 50 kor., aby zostać członkiem wspierającym, a 20 takich, co za wkładkę 200 koron nabędą tytułu „założyciela“, niechaj w tym stosunku pójdzie cała Galicya, wszyscy uczciwi Polacy i wszystkie szlachetne Polki — a i to wystarczy, aby „Straż“ stała się siłą twierdzą narodową.

Spółka spożywcza w Przemyślu.

(Do illustracyi na str. 4).

Fatalne stosunki finansowe wśród szerokich kół urzędniczych, następstwo niesłychanej drożyzny wszelkich artykułów spożywczych, dającej się odczuć nietylko w miastach stołecznych Krakowie i Lwowie, ale i w miastach prowincyonalnych, skłoniły kolejarzy w Przemyślu do zawiązania pierwszej w tem mieście spółki spożywczej.

Celem tej organizacyi jest dostarczanie członkom wszelkich artykułów spożywczych po cenach umiarkowanych i ułatwienie kredytu. Lokal spółki mieści się w budynku kolejowym, odstąpionym przez zarząd kolei bezpłatnie na rzecz spółki.

Ubiegłej niedzieli odbyło się uroczyste poświęcenie lokalu spółki po nabożeństwie w kościele OO. Reformatów, dokonane przez ks. infułata Federkiewicza. Następnego dnia rozpoczęła spółka swą działalność, a wobec dużego zainteresowania wśród kolejarzy tą sprawą spodziewać się należy, że będzie ona prawdziwem dobrodziejstwem i że położy bodaj w części kres niesłychanemu wyzyskowi, uprawianemu przez miejscowych „królów targu“.

Do wydziału spółki należą ludzie przeważnie młodzi i energiczni, którzy będą mogli pokierować organizacyą w duchu, odpowiadającym potrzebom członków.

Francuzi w Marokku.

Od pewnego czasu bieg wypadków wojennych w Marokku przyjmuje coraz niepomyślniejszy dla Francyi obrót. Poprzednie potyczki, w których woj-



Francuzi w Marokku: Żołnierze francuscy w opuszczonej przez mężczyzn, a zamieszkałej przez same kobiety osadzie marokańskiej.

sko francuskie, nie ponosząc prawie żadnych strat, zadawało stanowcze porażki Marokkańczykom, zamieniły się obecnie na regularnie prowadzoną wojnę.

Straty francuskie zwiększają się wskutek tego ciągle, Marokkańczycy zaś nie ustępują, lecz walczą z coraz rosnącą zawziętością i bohaterstwem. Na pomoc generałowi d'Amade wysłał rząd dwa bataliony strzelców sudańskich, trzy bataliony piechoty z Tunisu i jeden szwadron kawaleryi, czyli razem cztery tysiące ludzi, tak iż siły francuskie wynosić obecnie będą trzynaście tysięcy ludzi. Równocześnie jednak i Mulej Hafid zdołał podburzyć spokojne dotychczas plemiona i te obecnie przyłączyły się do jego zastępów.

Przebieg ostatnich walk był dla Francuzów bardzo niepomyślny, utracili oni bowiem przeszło pięćdziesiąt ludzi w zabitych i rannych. Energiczniejsze jednak wystąpienia gen. d'Amade paraliżują rozporządzenia rządu francuskiego, który musi zwracać uwagę na różne względy dyplomatyczne, a zwłaszcza na trudności, jakie na każdym kroku znajduje Francya w Niemczech. Wojsko więc francuskie znajduje się w bardzo niewdzięcznych warunkach, nie może ono bowiem wykorzystać nawet tych zwycięstw, jakie tak drogo swą krwią okupuje. Taktyka też gen. d'Amade, który ma zakreślone granice działania, polega na doszczętnem niszczeniu okolic, objętych wojną. W ten sposób chce on przymusić do uległości zbuntowane plemiona.

Śmiały napad na pociąg.

W ubiegłym tygodniu dokonano pod stacyą Tumlinem obok Kielc, na linii kolei Dąbrowskiej, niezwykle śmiałego napadu bandyckiego na pociąg. W pociągu tym, składającym się z szeregu wagonów towarowych a jednego osobowego, wiózł płatnik kolei Nadwiślańskich Szubnikow, pod ochroną sześciu żołnierzy, 20.000 rb. Na stacyi Skarżysko znaleźli się w tym samym wagonie dwaj ludzie w mundurach szeregowców straży pogranicznej, jadący rzekomo na służbę do Sierosławic.

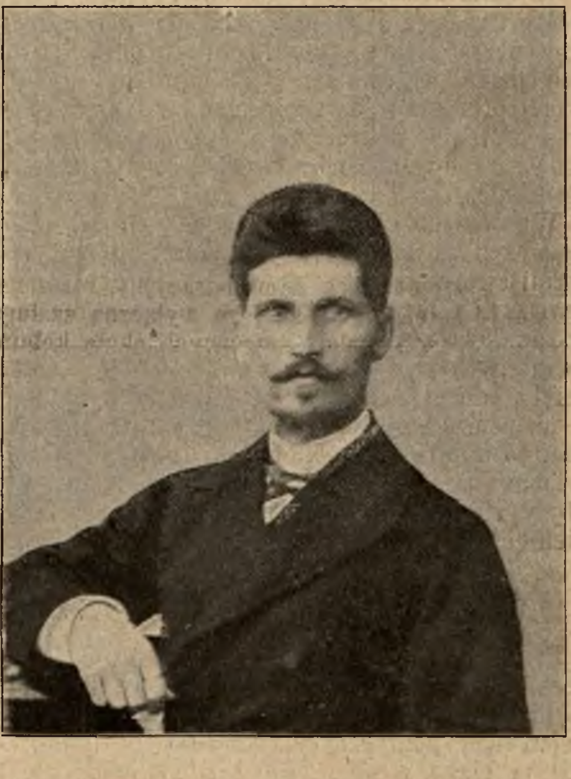
W chwili gdy pociąg stanął w Tumlinie, wpadli tam nagle zamaskowani bandyci, oddali kilka salw rewolwerowych, oraz rzucili trzy bomby pod pociąg. Bomby wybuchły, szerząc zniszczenie i panikę, z czego skorzystali napastnicy i zabrali z wagonu całą gotówkę. Z łupem tym, oraz z dwoma owymi szeregowcami, którzy byli wspólnikami napadu, ulotnili się następnie bez śladu.

Następstwa wybuchów i strzałów okazały się straszne. Jeden z żołnierzy został zabity, płatnik Szubnikow odniósł straszne rany, wybuch bomb bowiem oderwał mu obie, tak iż ranny zmarł w dwa dni potem w Warszawie, nadto sześć osób poraniono. Także wagony kolejowe i tor silnie uszkodzone. Poszukiwania za uczestnikami napadu pozostały bez skutku, mimo iż natychmiast po nadejściu wiadomości o wypadku do Kielc, ruszył stamtąd oddział wojska w pociąg.

Gniazdo sokole w Cieszynie.

(Do illustracyj na str. 10).

Dnia 1 marca odbyło się walne zgromadzenie „Sokoła“ cieszyńskiego w sali Domu narodowego. Zgromadzenie to dało dowód, że w roku ubiegłym nastąpił poważny krok naprzód w rozwoju towa-



Śmiały napad na pociąg: Płatnik Szubnikow, zmarły wskutek ran, odniesionych w czasie napadu.



Francuzi w Marokku: Generał d'Amade ze swoim sztabem w czasie śniadania.



Francuzi w Marokku: Przewożenie na jaszczykach zwłok zabitych żołnierzy francuskich.

rzystwa. Gdy dotychczas „Sokół“ śląski wegetował, z minionym rokiem podniósł się znacznie i stał się jednem z najbardziej intenzywnie pracujących towarzystw. Stało się to oczywiście pod wpływem ogromnego zlotu cieszyńskiego, a entuzyazm do czamary sokolej i idei sokolej objawił się rychło bardzo dodatnio na całym Śląsku, bo liczba członków „Sokołów“ tamtejszych wzrosła w trójnasób. A członkami towarzystw sokolich na Śląsku, oprócz garstki inteligencyi, to przeważnie robotnicy.

W pierwszym rzędzie, na czele towarzystw, idzie „Sokół“ cieszyński; liczba jego członków w b. r. dosięgła imponującej wysokości 150 druhów.

Obecnie gniazdo myśli o pierwszej sokolni na Śląsku, którąby stanęła w Cieszynie. Sprawa to ważna i godna poparcia przez społeczeństwo polskie, ze względu na rozwój niemieckich „Turnvereinów“ i czeskich „Sokołów“, które mają już własne gmachy.

Również w roku bieżącym powstał osobny oddział sokolic. To też pod takiemi wrażeniami i dorobkami odbyte walne zebranie było jedną owacyą dla prezesa tow. J. Galicza, prof. gimn. polskiego, którego dużą zasługą było podniesienie towarzystwa do tych wyżyn, na jakich ono dziś stoi. Wybór ponowny na dalsze trzechlecie był dowodem uznania za wytrwałą pracę prezesa Galicza.

Skazanie ministra.

Sycylijczycy w obronie swego byłego posła i ministra Nunzia Nasi, który wreszcie po czteroletnich rozprawach został skazany na jedenaście miesięcy i dwadzieścia dni więzienia, urządzili cały szereg demonstracyi.

W dniu, którym przyszła do Palermo wiadomość o zasądzeniu Nasiego, studenci rozwinąwszy czerwone sztandary przemaszerowali przez główne ulice miasta, poczem udali się do uniwersytetu, gdzie zmusili profesorów do zaprzestania wykładów; te same żądania powtórzyli w pobliskiem liceum, a gdy ich nie usłuchano, zniszczyli całe wewnętrzne urządzenie.

Wkrótce do grupy manifestujących studentów przyłączyli się rzemieślnicy i kupcy, którzy pozamykali swe sklepy i warstaty, na domach zaś powywieszali czerwone chorągwie. Kiedy demonstracya przyjęła większe rozmiary, wkroczyła policya, ale interwencya jej okazała się za słabą, sam zaś prefekt policyi został poturbowany. Wezwano wtedy na pomoc wojsko, które wielu manifestantów poraniło i aresztowało, kładąc kres rozruchom. Podobne manifestacye na rzecz skazanego Nasiego odbyły się i w innych miastach Sycylii, w mniejszych jednakże rozmiarach.

Król angielski w Paryżu.

Pomimo wszelkich usiłowań dyplomacyi niemieckiej, aby doprowadzić drogą intryg do zerwania przyjaznych stosunków angielsko-francuskich w sprawach politycznych, stosunki te trwają w dalszym ciągu, a jako dowód służyć może niedawna wizyta króla Edwarda w Paryżu.

Odwiedziny takie, choć odbywają się tylko w przejeździe i zupełnem incognito, bardziej jeszcze zacieśniają istniejący już związek obu mocarstw, niż uroczyste i z wielkim hałasem odbywane wizyty cesarza Wilhelma. Podczas obecnego, krótkotrwałego zresztą pobytu w Paryżu, król Edward pospieszył zaraz zaprosić prezesa ministrów Clemenceau i ministra spraw zagranicznych Pichon'a na obiad.

Zaproszenie tych właśnie osób wykazuje dobitnie, iż był to akt grzeczności, ale o wybitnem znaczeniu politycznem.



Król angielski w Paryżu: Prezydent ministrów Clemenceau żegna króla Edwarda VII przed dworcem.

Rycina nasza przedstawia króla Edwarda obok dworca (na quai d'Orsay), gdy żegna się z premierem Clemenceau przed odjazdem do Biarritz.

Pomysłowy wynalazca.

Głośną stała się w ostatnich dniach wiadomość o doniosłym wynalazku amerykanina Maxima, który obmyślił broń palną cichostrzelną. Znalazł też oczywiście wnet możnych protektorów, którzy dostarczeniem funduszów umożliwią mu wykorzystanie wynalazku i jego dalsze udoskonalenie.

Dzięki temu sława szczęśliwego pomysłu przypadnie Ameryce, choć mógł ją zdobyć Polak. Bo już przed dwoma laty problem cichostrzelnej broni rozwiązał szczęśliwie mechanik z Przemyśla, Stanisław Chrzanowski, z powodu jednak braku środków pieniężnych, a zupełnej obojętności tych czynników, do których w tym kierunku o pomoc się zwracał, musiał zaniechać dalszych prób, mimo iż pierwsze wypadły zupełnie zadowalająco.



Pomysłowy wynalazca: Stanisław Chrzanowski z Przemyśla.

Wspomniany wynalazca nie zraził się doznanym zawodem i z wytrwałością podziwu godną pracował nad wykonaniem innych pomysłów, których sporo w głowie jego się rodziło. I tak wynalazł on aparat, umożliwiający widzenie porą nocną, aparat do wzierania w ziemię, umożliwiający więc zbadanie jej zawartości, a ostatnio telefotograf, t. j. aparat do widzenia na odległość, przewyższający dotychczasowe tego rodzaju instrumenty we wszystkich szczegółach. Nad budową tego aparatu pracuje wynalazca w zakładzie ele-



Skazanie ministra: Demonstracya przed gmachem rady miejskiej w Trapani.

ktrotechnicznym p. Witolda Trandy w Przemyślu, a za kilka tygodni ma się odbyć publiczna próba. Może więc obecnie nie uprzedzi nas zagranica i może sława i korzyść wynalazku zostaną w kraju.

Eskadra rosyjska we Włoszech.

Jednym z ważniejszych wypadków politycznych ostatniej doby, były odwiedziny eskadry rosyjskiej w Neapolu, której dowódca, kontradmirał Eberhard, miał specyalną misyę do spełnienia, a mianowicie wręczenie królowi Wiktorowi Emanuelowi listu cesarza Mikołaja II.

Po wymienieniu powitalnych strzałów armatnich z okrętami włoskimi, stojącymi w porcie neapolitańskim i po oddaniu wzajemnych wizyt przez księcia Aosty i dowódcę rosyjskiej eskadry, kontradmirał Eberhard z wyższymi oficerami udał się do Rzymu.

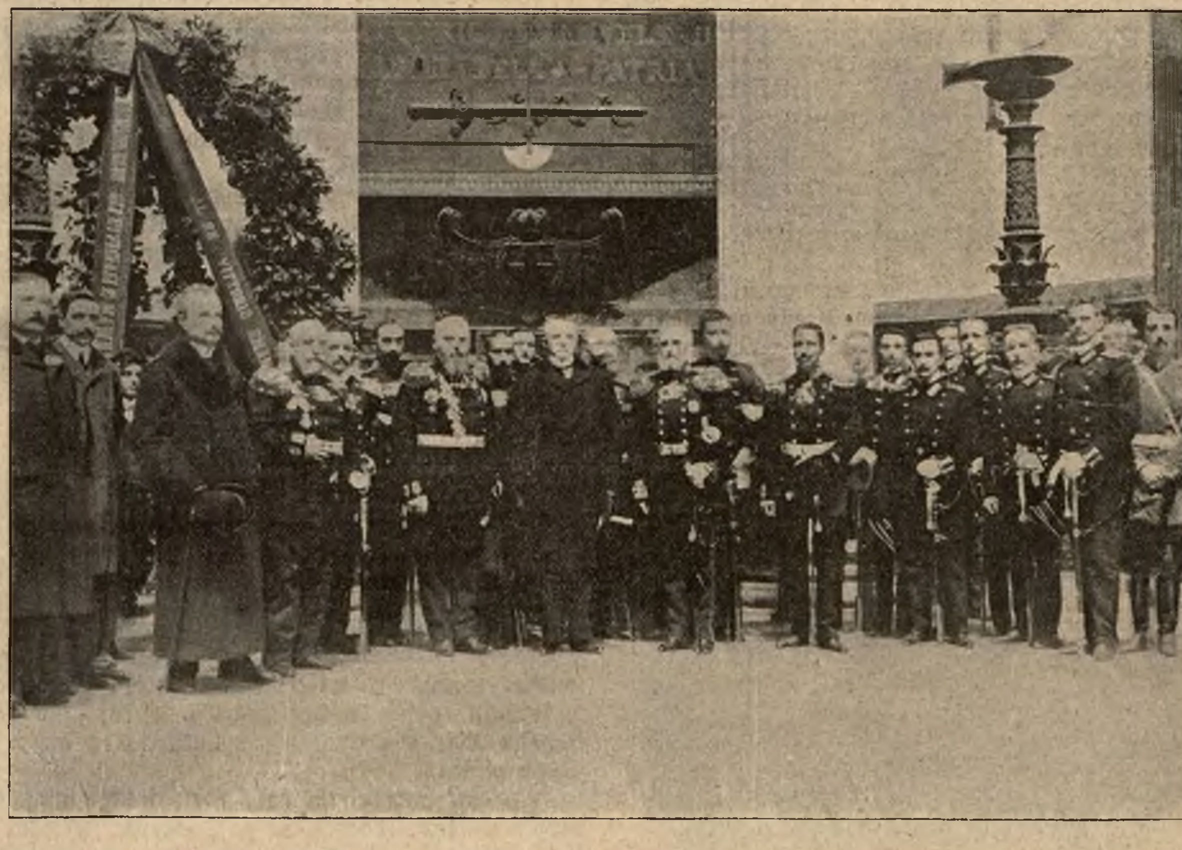
Tutaj w Panteonie marynarze rosyjscy złożyli wieńce palmowe z napisami na szarfach na grobowcach dwóch pierwszych królów zjednoczonych Włoch. Następnego zaś dnia przed południem udali się wszyscy do Kwirynału, na audyencyę u króla. Z przedstawionymi przez ambasadora Murawiewa król i królowa rozmawiali uprzejmie, rozpytując się poszczególnych członków misyi o ich służbę, zajęcia i podróże. Po półgodzinnej audyencyi goście rosyjscy udali się do pałacu Margherita, gdzie zostali przyjęci przez królowę matkę. Tegoż dnia popołudniu minister spraw zewnętrznych Tittoni wydał ucztę na cześć przybyłych gości, w której oprócz marynarzy rosyjskich wzięło udział kilku ministrów, ciało dyplomatyczne w komplecie i znaczna liczba osób z arystokracyi rzymskiej. Tym objawom rosyjsko-włoskiej serdeczności prasa przypisuje ważne znaczenie, poprzedzać one bowiem mają przyszłe spotkanie na wodach śródziemnych cesarza Mikołaja z królem włoskim.

Żona b. arcyksięcia w zakładzie dla obłąkanych.

(Do illustracyi na str. 8).

Pisma codzienne przyniosły wiadomość o wzmożeniu się choroby umysłowej Wilhelminy Adamowiczówny-Wölflingowej, rozwiedzionej od kilku miesięcy żony b. arcyksięcia Leopolda. Choroba ta — wedle wspomnianych wiadomości — datuje się od dłuższego czasu, a ostatnie przejścia przyczyniły się do jej rozwoju.

Wölflingowa miała się odgrażać nietylko otoczeniu, ale i byłemu swemu małżonkowi, śmiercią. Zdradzała także zamiary samobójcze. Wobec tych objawów szału, rodzina widziała się zniewoloną oddać chorą do zakładu psychiatrycznego pod Wiedniem.



Eskadra rosyjska we Włoszech: Oficerowie marynarki rosyjskiej, z ambasadorem Murawiewem pośrodku, w Panteonie w Rzymie przy grobowcu króla Wiktora Emanuela.

Smutny więc, bardzo smutny koniec stał się udziałem kobiety, której niedawno jeszcze zazdrościło tyle rówieśnic szczęścia i pożycia małżeńskiego u boku wysoko urodzonego męża.

Minister-poeta.

(Do illustracyi na str. 10).

Teatr wiedeński, „Intimes Theater“, przyniósł przed paru dniami niezwykłą sensacyę. Oto wystawiono tam dwa utwory sceniczne, pióra ministra rolnictwa, dr. Alfreda Ebenhocha, p. t. „Anno Neun“ i „Johann Philipp Palm“.

Minister-poeta zyskał tymi utworami duże powodzenie, a krytyka podniosła zgodnie ich niepoślednie zalety, dowodzące wielkiego talentu dramatycznego autora i znajomości sceny.

Jubileusz polskiego uczonego.

(Do illustracyi na stronie 4).

Świat naukowy krakowski złożył w ubiegły poniedziałek hołd zasługom na polu nauki i wiedzy prof. dr. Kazimierzowi Morawskiemu, znakomitemu filologowi klasycznemu, cieszącemu się w tej gałęzi nauki światową sławą. Okazyę do uczczenia prof. Morawskiego dało upłynięcie lat trzydziestu od chwili, w której ten uczony rozpoczął na uniwersytecie Jagiellońskim wykłady filologii klasycznej, podówczas jako docent prywatny.

Prof. Morawski jest z rodu Poznańczykiem,

Nowi posłowie sejmowi:



Dr. Ernest Adam (m. Lwów).



Dr. Roger Battaglia (m. Lwów).



Dr. Tadeusz Rutowski (m. Lwów).



Dr. Stanisław Jabłoński (m. Rzeszów).



Oktaw Sala (m. Brody).



Dr. Tadeusz Tertil (m. Tarnów).



Stefan Cipser (pow. Dolina).



Władysław Długosz (pow. Gorlice).



Leon br. Piniński (pow. Skałat).



Albin Rayski (w. wł. Sambor).

tam też rozpoczął studya początkowe. Kształcił się następnie w Berlinie, studyując z zamiłowaniem filologię klasyczną. Studya te wydały owoce nadzwyczajne i dziś należy profesor Morawski do najwybitniejszych klasyków, a wszechnica Jagiellońska może być dumną, iż zalicza go w poczet swych profesorów.

Nietylko jako uczony ale i jako obywatel cieszy się prof. Morawski zasłużoną czcią. Praca jego w krajowej Radzie szkolnej, oraz w rozmaitych towarzystwach, zajmujących się reformą szkół średnich i opieką nad młodzieżą, zjednała mu wiele sympatyi i miru.



Wieczór pieśni: Wanda Hendrichówna.

Jubileusz zasłużonego uczonego był świętem czysto uniwersyteckiem, takie bowiem było życzenie jubilata, niechętnego głośnym obchodom.

„Wieczór pieśni“.

Krakowski chór akademicki urządza w nadchodzący piątek w sali Starego Teatru „wieczór pieśni“ polskich, na którym przypomni się muzykalnej publiczności Krakowa sympatyczna sopranistka opery lwowskiej, p. Wanda Hendrichówna. Wykona ona na tym koncercie szereg kompozycyi polskich, dotąd mało znanych.

Zarówno program „wieczoru pieśni“, jak współudział w nim młodej a tak utalentowanej śpiewaczki, zapewnia mu duże powodzenie. Spodziewać się tego należy tem więcej, że „wieczór pieśni“ chóru akademickiego będzie miłą odmianą po powodzi rozmaitych odbytych i nieodbytych koncertów „gwiazd“ zagranicznych.

Aleksander Zelwerowicz.

Straszny człowiek. Prawdziwy „czarny charakter“. Bo z pośród artystów sceny krakowskiej ma najwięcej na swem sumieniu łez ludzkich. Jednak nie łez współczucia, żalu, czy bolu. Ale łez, wywołanych serdecznym, szczerym śmiechem, który towarzyszy każdemu niemal pojawieniu się jego na scenie. Komik w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, pełen naturalnego humoru, przebijającego z maski dowcipnej, z każdego ruchu, z każdego słowa.

Kraków patrzał na cały rozwój tego niepospolitego talentu. Litwin z pochodzenia, urodził się Zelwerowicz w Królestwie, tam też skończył gimnazyum i warszawską szkołę handlową, kształcił się też czas jakiś w Genewie na „społecznika“. Wrodzone zdolności jednak zapędziły go do teatru. Przygotowany w warszawskiej szkole dramatycznej, wstąpił w 22 roku życia na scenę w Łodzi, stamtąd po roku dostał się do teatru w Krakowie i tu od lat ośmiu pracuje, dźwigając na swych — dość zresztą szerokich — barkach cały repertuar ról charakterystyczno-komicznych. Stworzył ich w ciągu niedługiej stosunkowo, bo zaledwie dziewięcioletniej karyery artystycznej, moc ogromną. Typy jego zawsze tryskają życiem, werwą, dowcipem szczerym, budzą też wśród widzów salwy śmiechu. Ma oczywiście — jak każdy artysta — swoje ulubione role, np. w „Wujaszku Wani“, „Odrodzeniu“, „Interes interesem“.

Już dziś artysta wybitny, bogaty w doświadczenie, bogaty w zasób ról pierwszorzędnych — ma przed sobą przyszłość niewątpliwie świetną.

* * *

Zamieszczamy tu portret p. Zelwerowicza, reprodukcyę ostatniego zdjęcia fotograficznego w zakładzie pp. Kuczyńskiego i Gürtlera.



Aleksander Zelwerowicz.

Z lwowskiego bruku.

(Lwów odpoczywa po »już« a czeka na »jeszcze«. — Pierwsze wrony wyborcze. — Z dziada pradziada. — Co będzie?... — Praca duchowa. — Latający uniwersytet. — Kult wielkich ludzi. — Muzykalna stolica. — Sensacya wiosenna. — Wiosenne podrygi policyi.).

Żyjemy jeszcze w okresie wypoczynku. Lwów nie byłby w stanie strawić tak szybko podwójnej seryi wyborów — po sejmowych musi przyjść „do siebie“ i ochłonąć, by nabrać tchu i rozpędu do wyborów magistrackich. Przeżywamy więc dziwnie spokojne i solidne dni. Nikt nie pierze się na zgromadzeniach, nikomu nie piorą brudów w chemicznej narodowej pralni „Słowa Polskiego“, mury i płoty miasta odetchnęły po zdarciu na metr grubej warstwy afiszów 258 komitetów przedwyborczych — hyeny wróciły w stan dobrze zasłużonego spoczynku na Zamarstynowie i Wysokim Zamku. Kandydaci tryumfujący, którzy przeszli przy wyborach, pochowali się w ciszę ustronia przed wyborcami (ach te obiecanki kandydackie, jakiż to straszny wynalazek...); kandydaci przepadli, z ołówkiem w ręku obliczają, wiele ich ostatnia ofiara dla społeczeństwa kosztowała (ach te drukarnie, ta agitacya...). Cisza na rynku politycznym: przekupki pozwijały stragany i rozbiją je dopiero w przyszłym tygodniu.

Ale już powoli poczynają pokazywać się wrony wyborcze. („Jaskółki“ jest to wyrażenie stanowczo za wiotkie i subtelne). Ci, którym dobro miasta zawsze leżało na sercu i żołądku, nasze kochane „miszczany“, macają grunt osiadły błotem po ostatnich wyborach. „Skład Rady miejskiej ma największe dla mieszczaństwa znaczenie, i żadna warstwa nie jest w sprawie tej tak zaangażowana, jak właśnie mieszczaństwo, z dziada pradziada we Lwowie osiadłe i wszystkiemi nićmi swej egzystencyi z miastem związane...“ Wiemy aż nadto dobitnie, jakiemi to pępowinami wrośli panowie strzelnica w magistracki żołądek. Operacya rozcięcia tego interesu przydałaby się miastu ogromnie.

Swoją drogą wstrzymanie się na razie od agitacyi i walki wyborczej ma jeszcze jeden zasadniczy powód: ciekawe bowiem będzie ugrupowanie się stronnictw w walce o stolce radzieckie. Centrum reakcyi tkwi tu w „miszczanach“, którzy w znacznej części udawali „postępowców“ przy wyborach sejmowych—gdyby teraz chcieli się dalej w swej postępowości utrzymać, musieliby zacząć robić porządek od siebie. Dlatego czekamy, co będzie?

Czekamy, bawiąc się tymczasowo w wszelaki sposób dozwolony w poście. Balowe toalety pozabierali handełesi, fraki poszły do zastawu, nogi do reparacyi — Lwów pracuje teraz „dla ducha“. Więc odczyty, koncerty, teatr. W poście powstaje u nas rodzaj latającego uniwersytetu dla arystokracyi, na którym wykładają ci, co z powodu podagry lub uwiądu z braku innego zajęcia „studyowali“ podczas karnawału. Mówił więc bardzo ciemne rzeczy o Żeromskim hr. Ciemniewski, na którego odczycie słuchacze i słuchaczki zabawiali się głośnym flirtem „literackim“ (specyalność koła literacko-artystycznego, oprócz kuchni!), mówił jakiś ksiądz francuski o snobiźmie a ekscelencya hr. Piniński o „ewolucyi i modzie w zasadach piękna“. Piękne damy, bardzo dobrze ubrani panowie z wielkiem zainteresowaniem... nie rozumieli, o co chodzi. Ale przecie coś kapnie zawsze z tego na miłosierdzie. Warto się nudzić dwie godziny...

Niżej od tego wysokiego uniwersytetu pracują inni zwykli już ludzie nad podniesieniem zgorszonego w karnawale Lwowa. Po wytańczeniu 4000 walców i polek przypomnieli sobie ludziska, że umarł Wyspiański i że „wypadałoby“ go przecie uczcić. Inni grają i śpiewają na pomnik Szopena, jeszcze inni na sprowadzenie Słowackiego i tak w każdym kąciku naszej kapliczki płonie świeczka kultu dla wielkich ludzi. Łojówkę postawiło też skromnie na boku jakieś nowo zawiązane stowarzyszenie czy „kółko dramatyczne imienia St. Wyspiańskiego“, które wystawiło w niedzielę na inauguracyjnem przedstawieniu ni mniej, ni więcej tylko... „Królowę przedmieścia!!!“

I mówią, że Lwów jest Abderą...

Oryginalne zapasy prowadzi od pewnego czasu z teatrem Filharmonia. „Akurat, na złość“ wtedy, gdy w teatrze śpiewa Battistini, Filharmonia sprowadza Szmedesa. — Publiczność rozrywa się na pół (mąż do teatru, żona do filharmonii), recenzenci biegają to tu, to tam (szczęście, że oba gmachy są tak blisko...) i... obie widownie są pełne.

I mówią, że u nas ludzie nie mają... pieniędzy! To jest, chciałem powiedzieć, nie mają... zamiłowania do muzyki Muzykalny prąd porwał nawet i tutejszy teatr kinematograficzny. Zamiast kataryniki wprowadził w antraktach „prawdziwą“ śpiewaczkę. A więc, gdzie wejdziesz tylko przybyszu do naszego miasta, wszędzie grają, śpiewają, deklamują, czytają.

Spokojną tę, choć mętną, wodę naszego życia pokarnawałowego i powyborczego przerwała tylko jedna mała sensacya. Pewien znany u nas powszechnie, młody i dzielny człowiek puścił kantem nasz bruk wraz z panną, którą kochał, a której rodzice nie chcieli się zgodzić na związek młodych ludzi. Miłość nie zna rezonerstwa zwłaszcza na wiosnę... I dzieje się rzecz ciekawa. Na wezwanie rodziców, policya niema innej roboty, jak tylko puścić cały swój aparat śledczy w ruch w poszukiwaniu za „zbiegami“.

W tygodniu poprzednim zabito człowieka wsród podejrzanych strasznie okoliczności w samem śródmieściu — zginął służący dr. M. również w bardzo podejrzany sposób — rozbito kasę w Olesku, było kilka śmiałych kradzieży — policya na to wszystko powiedziała „pas“, robiąc wybory w ratuszu. Teraz zaś chwyta się sposobności do rehabilitacyi... Życzę powodzenia w tem wiosennem przebudzeniu się policyjnego lwa.

A wiosna przychodzi do nas powoli ze strony stryjskiej rogatki. Na razie rozpuszcza śnieg z ostatniej katastrofy, grzebiąc nas w masie błota i wilgoci. Ci, co się jej doczekać nie mogą, masowo przenoszą się w lepszy świat, gdzie zapewne i kwiatki już kwitną i niema takich „sympatycznych“ wyborów. Ale wnet i my się jej doczekamy. Na pierwsze podmuchy wiosennych zefirów wyciągniemy dla przewietrzenia magistrackie fotele... Nie macie tam jakich ssąco-czyszczących aparatów? Ach! zapomniałem, że i u was w Krakowie robi się teraz „porządki“ i trzepie graty przed świętami...

Jerzy Gips.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

I.

Ferdynand Lindner miał sławę bardzo zręcznego, oględnego detektywa. Najtrudniejsze sprawy, najzawilsze krętactwa zbrodnicze, umiał rozjaśnić, odsłonić, wykryć. Niepozorny był, wątły, napozór ociężały, a jednak celował energią czynu, bystrością myśli i pomysłów. Zjednał też sobie niemałą w policyi powagę i nawet wyżsi, starsi urzędnicy okazywali mu wiele szacunku, zwłaszcza że charakter miał czysty, szlachetny, a wykształcenia i wrodzonej inteligencyi bardzo wiele. Z wielkiem upodobaniem toczył dyskusye na tle prawniczem, czy policyjnem; wygłaszał teorye o kryminalistyce, acz nie nowe, ale zawsze świeże, zawsze interesujące, zawsze aktualne. Szczególniej zapalał się, gdy poruszono temat o karze śmierci i zawzięcie przeciw niej występywał, upierając się przytem, że tylko Bóg życie daje i tylko Bóg odbierać je może.

I oto teraz właśnie toczy się taka rozprawa w biurze policyjnem komisarza Hallera, bardzo światłego, poważnego urzędnika.

— Tak, tak panie komisarzu, tego nikt we mnie nie wmówi, że kara śmierci bywa koniecznością.

— A jednak prawodawstwa tylu narodów zatrzymały ją do dziś dnia. Ząb za ząb, panie Lindner, oko za oko.

— To panie komisarzu pozostawmy już innemu sędziemu. Ząb za ząb, oko za oko pozostawmy Bogu. Ile to było wypadków w kryminalistyce, że wymierzenie kary śmierci stało się zbrodnią, bo po niewczasie dowiedziano się, że stracono niewinnego. Nie jestem doktorem praw, więc nie powinienbym może zabierać tak bardzo głosu i sprzeczać się z panem, panie komisarzu, ale chociaż naukę szanuję bardzo, to przecież nie mniej cenię głos sumienia, prosty chłopski rozum i doświadczenia własne, zyskane przez tyle lat praktyki w moim zawodzie.

— I owszem, i owszem panie Lindner, słucham pana z wielką przyjemnością.

— Mojem zdaniem prawo powinno karać bez zawziętości. Jeżeli zbrodniarz dopuścił się morderstwa, to uczynił to najczęściej pod wpływem chwilowego szału, albo skutkiem znicestwienia uczuć religijnych i moralnych. Morderca jest zatem do pewnego stopnia niepoczytalnym, chociażby nawet mordu z największym rozmysłem dokonał, chociażby ten mord pochodził z prawdziwego rozbestwienia. Taki zapamiętalec, mordujący skutkiem zaniku uczuć moralnych, jest nietylko zbrodniarzem, ale i nieszczęśliwym, bo kaleką moralnym. Oczywiście, że mu się tej zbrodni wybaczyć nie może, sprawiedliwość ludzka powinna mu karę wymierzyć, ale zarazem powinna dążyć do tego, aby go dźwignąć moralnie, poprawić i uczynić może pożytecznym i uczciwym członkiem społeczeństwa. Jeżeli uwięziony, zmuszony do pracy, pozbawiony wolności, nie okazuje skruchy i nie dostrzega się w nim objawów, któreby świadczyły, że się poprawi, wystarczy trzymać go w więzieniu, aby nie był szkodliwym. A iluż tu panie komisarzu bywało takich, co przed straceniem wielką okazali skruchę, czynu żałowali; byliby może długiem jeszcze życiem wynagrodzili krzywdę społeczeństwu.

Lindner rozgadał się i wpadł w zapał; mówił głośno, tak że z przyległych biur wyszli urzędnicy przysłuchiwać się wykładowi tego niezwykłego detektywa. Niektórzy mieli go za dziwaka, inni za entuzyastę idei, ci i owi podrwiwali sobie z niego, ale że ceniono wielce jego charakter zacny i prawy, że podziwiano jego zręczność w zawodzie detektywa, więc też nie broniono mu się wygadać i słuchano go chętnie, chociaż zawsze o tym samym przedmiocie rozprawiał.

— Widzę tu i młodszych panów w urzędzie— mówił dalej Lindner, do stojących we drzwiach— więc zwracam się do was panowie z tem zapewnieniem, że jeszcze wy się doczekacie tej szczęśliwej chwili, w której kara śmierci zostanie wymazaną z kodeksów karnych, bo wymazaną być powinna. Uważajcie tylko panowie. Jakiś zwyrodniały człowiek, a więc kaleka moralny, zabija drugiego człowieka, a za to prawo zabija jego. Zbrodniarz zabił w braku poczucia moralności, a więc poniekąd z nieświadomością tego, co czyni, a na nim dokonywa się zabójstwa z całą rozwagą, z całą świadomością i rzekomo w imię sprawiedliwości. Inny — w chwilowem uniesieniu, pod wpływem wybuchu namiętności, zatopił nóż w piersi ludzkiej; nie usprawiedliwia go, ale tłómaczy zaślepienie namiętności, szał wściekłego gniewu. Za to ginie za wyrokiem tych, którzy w imię litery prawa, z najzimniejszym rozmysłem, na śmierć go skazują. To panowie nie sprawiedliwość, ale zawziętość, a prawo powinno karać bez zawziętości. Oj, ta zawziętość, ona zawsze zaślepia człowieka i najczęściej utrudnia wyszukanie prawdziwego zbrodniarza. Ileż to razy tak bywa, że w gorączce zawziętości wpadamy na mylny trop, że rzucamy podejrzenia bez należnej rozwagi, że łudzimy się pozorami i zamiast zbliżać się do celu, czyli do wykrycia zbrodniarza, do wyjaśnienia zbrodni, od tego celu się oddalamy. Ja moi panowie nigdy nie zapalam się i nie unoszę, gdy mam śledzić przestępcę; czynię to z zimną krwią, z rozwagą, bez żadnej zawziętości i dlatego powodzi mi się zawsze dość szczęśliwie. Oho! — już późno — właśnie będę miał teraz robotę. Moje uszanowanie panu komisarzowi. Dowidzenia panowie.

Pożegnano go uprzejmie, wszyscy wrócili do swoich zajęć, komisarz Haller zamknął drzwi i zabrał się do jakiegoś referatu. Pracował w skupieniu może z pół godziny, gdy nagle zabrzęczał telefon. Zgniewany, że mu przerywają, pospieszył do aparatu, zdjął słuchawki z haków, przyłożył do ucha i zawołał do muszli:

— Komisarz Haller! Kto mówi?

Ale nikt się nie odzywał, tylko słychać było jakiś niezwykły szum, jakieś dziwne brzęczenie, coś podobnego—jakby z oddali przytłumione głosy dochodziły.

— Kto mówi? — zawołał Haller ponownie.

Znowu żadnej odpowiedzi. Komisarz chciał już słuchawki zawiesić, gdy nagle usłyszał w telefonie, jakby odgłos uderzenia, a w ślad za tem — jakby charczenie. To go bardzo zaciekawiło, przycisnął słuchawki do ucha, aby jaknajwięcej usłyszeć i usłyszał, jak zwolna, jąkając się — charczącym głosem ktoś się odzywał:

— Mord... morder... ca... za... bił... Czar... na... czar... na mas...

Głos ucichł, nastała cisza grobowa. Jeszcze chwilę słuchał, ale już nikt się nie odzywał. Co to mogło być? Dzwoni i zapytuje stacyi centralnej, z kim był teraz połączony. Odpowiedziano mu, że nikt w tej chwili nie żądał połączenia z policyą i że tylko zapewne przez przypadek druty się tak zetknęły.

Komisarz Haller nie mógł sobie zdać sprawy z tego wszystkiego. Czy to sen, czy na jawie? Widocznie został ktoś zamordowany, a może jakiś figlarz dopuścił się żartu? Lecz w jakiż sposób połączył się z biurem policyi, bez pośrednictwa centrali? Zapewne napadnięty przyskoczył do telefonu i przez jakiś zbieg okoliczności drut przewodni przeniósł głos jego do policyi. Ale któż to wołał, gdzie go znaleść? a jednak nie można tego puścić w niepamięć. Trzeba sprawy dociec.

Zaczął przechadzać się niecierpliwie po pokoju, rozdrażniał się, nie mógł wpaść na żaden pomysł. Jeżeli morderstwo, toć oczywiście niebawem wyjdzie na jaw, a więc na razie trzeba czekać.

II.

W buduarze, wspaniale urządzonym, na pół leżąca na otomanie przeglądała najnowsze pisma illustrowane, żona bogatego bankiera, pani Marya Sandtner. Piękna to kobieta. Hebanowe włosy dotykają śnieżnych ramion, ukazujących się z lekka z pomiędzy koronek eleganckiego stanika najmodniejszej sukni. Twarz młoda, świeża, o rysach przypominających najwspanialsze modele malarzy włoskich. Tylko mgła smutku na nich się wsparła. Oderwała oczy i spojrzała ku oknu w dal, a z poza aksamitów cudnego, czarnego oka wydarł się cień żalu, czy niezadowolenia. Odrzuciła pisma, podniosła się zwolna i stanęła w pobliżu okna. Wysoka, o postaci okazałej a zgrabnej, niemal powiewnej, wyglądała prawdziwie uroczo. Rozwarła okno, spoglądą w ulicę; patrzy na idące tłumy, na ożywiony rój ludzi, na twarze uśmiechnięte i sama uśmiecha się z goryczą. Jest żoną bogatego bankiera, otacza ją przepych i zbytek, jest piękną, zdrową, a jednak nie jest szczęśliwą. Zazdrości wesołego uśmiechu biednym dziewczętom, które naprzeciwko w sklepie zadowolone i swobodne pracują od rana do wieczora; zazdrości obdartusowi ulicznemu, który pogwizdując — biegnie po chodniku.

Zegar uderzył w buduarze dziesiątą. Ach, jakże leniwo ten czas upływa, myślała pani Marya. Wciąż samotna. Mąż całymi dniami w swem biurze, albo na giełdzie, a jeżeli poświęci jej chwilę czasu, to taki lodowaty, tak zajęty sprawami bankowemi, że niema dla niej żadnego słowa miłości. A ona tak pragnęła kochać i być kochaną. A był czas, że kochała i była kochaną i wtedy była szczęśliwą. Przed trzema laty marzyła o szczęściu z tym ukochanym, wierzyła mu i snuła się przed nią słoneczna przyszłość życia. Opuścił ją, przepadł bez wieści, odszedł bez pożegnania, a potem dowiedziała się, że poślubił gdzieś inną kobietę. Żal miała do niego wielki, ale duma ochroniła ją od rozpaczy. „ambicya serce z pod żeber wyżarła“ i Marya oddała rękę bez miłości bogatemu bankierowi. Był to człowiek młody, wcale urodziwy, więc pocieszała się nadzieją, że zapomni o ukochanym, że do męża przyzwyczai się, przylgnie, że w dostatkach znajdzie jakie takie zadowolenie. Ale nadzieje zawiodły. Bankier Sandtner był tylko bankierem, a człowiekiem i mężem być nie chciał, czy nie umiał. Marya uczuła się nieszczęśliwą, zawiedzioną. Pragnienie miłości jest tak silne w sercu człowieka, że ani zaszczyty, ani dostatki zagłuszyć go nie zdolne. Marya wolałaby w tej chwili być nawet ubogą szwaczką, byleby miała przy sobie serce kochające i kochania godne.

Upał lipcowy wdzierał się przez otwarte okno, więc je zamknęła, zasłoniła firanką i zaczęła przechadzać się po swoim buduarze, jakby w tej przechadzce chciała wymieść z duszy przygnębienie i smutek.

Weszła służąca.

— Czego? — zapytała pani Marya.

— Ten pan prosi o przyjęcie — odpowiedziała służąca i podała bilet.

Pani Sandtner wyczytała nazwisko: „Fryderyk Merck“. Zadrżała, krew uderzyła jej do głowy i z wysiłkiem tylko panowała nad sobą, żeby wobec służącej przytłumić wzruszenie.

— Proś do salonu.

Zaledwie służąca znikła za drzwiami, Marya przyłożyła dłoń do głowy i stała chwilę, żeby zebrać myśli, stłumić uczucia. Czego on chce? Poco on tu przyszedł? To on, ten jej niegdyś ukochany, który ją bez pożegnania opuścił. Musi mu się okazać silną, lekceważącą. Najmilejby jej było nie widzieć go wcale, lecz gdyby mu odmówiła przyjęcia, mógłby to sobie wytłómaczyć, że jeszcze o nim myśli, że o niego się troszczy. Przyjąć go było potrzeba, a przyjąć z chłodem przytłaczającym. Więc stanęła przed zwierciadłem, poprawiła włosy, ułożyła wyraz twarzy i weszła do salonu imponująca, spokojna.

Fryderyk Merck był to mężczyzna okazałej postaci, piękny, o rysach twarzy energicznych a szlachetnych. Gdy Marya weszła ukłonił się, z układnością człowieka do salonów przywykłego, i rzekł spokojnie:

— Pani wybaczy, że może zbyt wcześnie prosiłem o przyjęcie; na usprawiedliwienie muszę przytoczyć, że tylko przez dwie godziny mogę zatrzymać się w mieście.

Marya w milczeniu wskazała mu ręką fotel i sama usiadła.

— Pan zapewne chciał z moim mężem pomówić?

— Tak pani. Istotnie mam bardzo ważną sprawę załatwić z Robertem i chciałem się z nim widzieć, ale służący mi oświadczył, że Robert o tej porze nikogo nie przyjmuje. Ponieważ sprawa jest wielkiej wagi, i Roberta bardzo obchodzi, więc muszę korzystać z tych dwóch godzin czasu, aby się z nim widzieć. Ośmieliłem się prosić pani o przyjęcie, aby przez panią wyjednać sobie u Roberta kilka minut rozmowy.

— Żałuję bardzo, że w tej chwili nie spełnię życzenia pańskiego. Robert stanowczo mnie prosił, aby mu pod żadnym warunkiem nie przerywać zajęć przed godziną jedenastą. Jeżeli pan ma cierpliwość spędzić pół godziny czasu w mojem towarzystwie, to bardzo proszę.

— Z wdzięcznością przyjmuję łaskawe pozwolenie.

Nastała chwila milczenia. Marya nie tyle już z grzeczności, ile z rozżalenia pierwsza zawiązała rozmowę.

— Jako dawnego kolegi i przyjaciela mojego męża mogę pana zapytać, jak się panu powodzi?

— Dziękuję pani. Wcale nie źle, o ile powodzić się może człowiekowi, jak ja samotnemu.

— Jakto samotnemu? Wszakże słyszałam od Roberta, że pan się ożenił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zagadka I.

Ułożył K. Miszyński.

Druga z pierwszą stolica — aż tam w Antypodach,
Drugie trzecie są w wodach, albo też na wodach,
Raz żyjące stworzenia, smaczna z nich potrawa —
Lub przyrządy, bez których niebezpieczna nawa.
Wszystko — smaczne jagody, które świtezianka
Zbierała do koszyka dla swego kochanka.

Zagadka II.

Ułożył R. O. z Warszawy.

Druga z pierwszą złączona znakomite imię,
Dwakroć je spotykamy w starożytnym Rzymie.
Trzecia, druga płynie we dnie i przed świtem,
Nie łodzią, ani czółnem — poprostu korytem.
Wszyscy rękodzielnicy — piękne ich wyroby.
Służą tak do użytku, jak i do ozdoby.

Zagadka III.

Ułożył R. O. z Warszawy

W handlu zwykle *trzecia czwarta*,
Choć niewiele lecz coś warta:
Pierwsza, druga, czwarta wzajem
Dla Araba bywa rajem;
Wszystko, skoro w nią wierzycie,
Nieraz wam ocala życie.

Logogryf.

```
X . . . . O
          O . . . . . *
    X . . O
          O . . . . *
  X . . . O
          O . . . . *
X . . . . O
          O . . . . . *
    X . . O
          O . . . . *
  X . . . O
          O . . . *
X . . . . O
          O . . . . . . *
```

Zamieszczone poniżej wyrazy, czytane z góry na dół, dadzą w miejscach oznaczonych krzyżykiem nazwisko powieściopisarza współczesnego, oznaczone kółkami: imię i nazwisko poety polskiego z XVI wieku i nakoniec oznaczone gwiazdkami: nazwisko poety z XIX. stulecia.

Znaczenie wyrazów: 1. Rodzaj strumyka. 2. Termin muzyczny. 3. Określenie raju w poezyi. 4. Inaczej gnom. 5 Miasto w Japonii. 6 Psy gończe. 7. Bożek kapitalizmu. 8. Księgi Mahometa. 9. Bożek germański 10 Postać z Beatryx Cenci. 11. Rzeka w Królestwie Polskiem. 12 Część organizmu ludzkiego. 13. Materya wełniana. 14. Samiec ryba.

Logogryf.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by krzyżyki czytane w pionowym kierunku, dały imię i nazwisko powieściopisarza i satyryka polskiego, tudzież utwór tegoż.

```
              X
            o X o
          o o X o o
        o o o X o o o
          o o X o o
            o X o
              X
            o X o
          o o X o o
        o o o X o o o
          o o X o o
            o X o
            o X o
          o o X o o
        o o o X o o o
      o o o o X o o o o
    o o o o o X o o o o o
    o o o o o X o o o o o
    o o o o o X o o o o o
o o o o o o o X o o o o o o o
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Skorupiak. 3. Rzeka w Austryi. 4. Sławny kronikarz polski. 5. Inaczej ubranie. 6. Imię żeńskie. 7. Spółgłoska. 8. Główna część malowidła. 9. Metal. 10. Inaczej leksykon. 11. Ozdoba muru. 12. Część ciała. 13. Motyl. 14. Jezioro. 15 Wyspa na morzu Śródziemnem. 16 Miejscowość sławna z czasów Piasta. 17. Znakomity organizator polskiej sceny. 18. Badanie zabytków przeszłości. 19. Sławny mąż grecki. 20. Autor dramatu pt. »Wit Stwosz«.

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy W. Gąsiorowskiego powieść w 2 tomach p. t. **»Pani Walewska«**.

Rozwiązanie zagadek z Nru 9.

Szarada.

Baranina.

Zagadka.

Ludwik Kondratowicz, Władysław Syrokomla.

Logogryf.

Zygmunt Kawecki, Szkoła.

Łamigłówka geograficzna.

Macedonia, Kartagina, Finlandya, Andaluzya, Semita, Mozela, Ładoga, Rujana.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: F. Januszyk Wadowice, W. Spirydowicz Stara Sól, S. Eckhardt Stanisławów, Czytelnia ludowa Morawica, J. Małek Przemyśl, W. Sokołowski Warszawa, Czytelnia Jordanów, B. Mieczkowski Kraków, M. Krynicka Aleksandrów. A. Kleiber Izdebnik, L. Złochowski Zaleszczyki, E. Wieczorkowa Kraków, M. Grodzicka Dębniki, Z. Gandnik Stary Sącz, S. Kopffowa Tarnów, A. Bocsoń Bóbrka, W. Masiuk Dębniki, F Niepokój Krosno, M. Arbesbauer Lwów, S. Jastrzębski Lublin, O. Górkowa Chyrów, M. Rożański Libusza, Z. Furko Kraków, J. Biegoń Sucha, I Bazylewicz Jaktorów, W. Rakiewicz Częstochowa, E. Bogdalska Koropuż, Słapecki Strzyżów, J. Bochniak Mokrzyszów, H. Chodkiewicz Warszawa, M. Opolska Czarny Dunajec, A. Pisowicz Dulczówka, K. Michalczewska Złoczów, A. Kudła Tapin, S. Heintze Oświęcim, E. Zażulińska Olszanica.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. H. Chodkiewicz, Warszawa. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.